

TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRETY CÓREK ARTYSTY
Z V Salonu dorocznego

ALEKSANDER AUGUSTYNOWICZ

LUDWIK WŁODEK:

Rewolucja rosyjska

Z POWODU NOWEJ KSIĄŻKI.*)

Nie o bieżących, najświeższych wypadkach mówić zamierzamy. I nie o „Rosyi podziemnej”, o mniej lub więcej tajemniczych spiskach i czynach taerorystycznych, o procesach i karach. Śladem autora, który wypadkom i osobom wyznacza miejsce drugorzędne, pragniemy przypatrzeć się kierunkom, które określiły podstawy i rozwój myśli rewolucyjnej w państwie rosyjskim. Sięgamy aż do początku ubiegłego wieku i spostrzegamy jedyny kierunek ściśle polityczny. Z łóz masońskich osiemnastego stulecia, zamykanych, a mimo to istniejących, z działalności Nowikowa i Radiszczewa, tych pierwszych zesłańców politycznych rosyjskich, pokutujących za działalność filantropijną i kulturalną w Szlisselburgu i na Syberji, z wędrówek orłów napoleońskich, roznoszących wszędzie niewątpliwe zdobycze wielkiej Rewolucji, zniesienie stanów i równość przed prawem, z pism nacyonalistycznych i sensualistycznych encyklopedystów francuskich, wreszcie, i to może najważniejsza, z rzeczy osobiście widzianych i odczutyh podczas wędrówek wojskowych po Zachodzie, rodzi się szereg organizacji tajnych, jak „Kółko oficerów pułku siemionowskiego”, związki „Zbawienia”, „Szczęśliwości”, „Północny”, „Południowy”, „Stowarzyszenie wojskowe” i inne.

Wzorowane są częściowo na łożach, częściowo na niemieckim *Tugendbundzie*, mylnie w książce podawanym, jako *Jugendbund*, był to bowiem związek „cnoty”, nie „młodzieży”. Niewinne z początku w założeniu, humanistyczne i marzycielskie, nabierają związki charakteru coraz bardziej politycznego i coraz bardziej opozycyjnego w miarę tego, jak zawodzą nadzieje, pokładane w panowaniu Aleksandra I, jak chwiejny monarcha po kongresie wiedeńskim pograża się coraz bardziej w mroki mistycyzmu i reakcji. A symbol jej w wojsku—Arakcejew, dorobkiewicz o ciężkiej ręce, daje się najbardziej we znaki wojskowym, arystokracji i szlachcie, z pośród których wyłącznie rekrutują się spiskowcy.

Ruch ten dąży do przekształcenia ustroju państwa, wedle opinii przeważającej, na republikański; w projektach zmian sprawy społeczne znajdują się na drugim planie. I odrazu zdradza piętno fatalne wszystkich późniejszych ruchów rosyjskich. Spiskowi układają bardzo drobiazgowo konstytucje przyszłości, obradują długo nad sprawami dziesięciorzędnymi, a najbardziej spornymi, słowem, gubią się w szczegółach papierowo-dyskusyjnych. Mają pośród siebie bohaterów zdolnych do wszelkich heroizmów jednostkowych, a brak im zdolności zbiorowego czynu. Papier i słowo pochłania życie rzeczywiste. Kiedy w chmurny dzień grudniowy na placu Senackim stoją szeregi nie rozumiejących żołnierzy, którzy wier-

nie poszli za ukochanymi oficerami-spiskowcami, zabrakło wodza. Stoją wojska przez dzień cały, aż je rozganiają kartacze...

Co było lepszego w oświeconych klasach społeczeństwa, ginie na szafotach, lub zaludnia Syberję. I tkwiło istotnie coś wyższego, idealnego w tych ludziach, skoro opromienili kraj wygnania, położyli tam olbrzymie zasługi kulturalne, pozostawili pamięć niewygasłą. Zapomnijmy tym szlachetnym Rosyanom my, Polacy, ich dwuznaczne stanowisko w sprawie polskiej. Zapiszmy, że o mało co nie doszło do rozłamu z powodu przyszłych losów Litwy i Rusi, trzymanych mocno przez rząd cesarski. Papierowa przyszłość i życie rzeczywiste...

Na gruncie rosyjskim pozostały ciury. Spiski ogarniały tysiące osób; kto z nich najmocniej zdradzał, ten teraz zrobił karierę. Pośród zdrajców współkolegów a nawet krewnych, obok Murawjewów, za jego sprawą wieszanych i zsyłanych, nie zapomnijmy wymienić ówczesnego konspiratora, późniejszego generał-gubernatora wileńskiego, Michała Murawjewa. Te ciury ruchu poprzedniego, najbliższe teraz otoczenie Mikołaja I, określiły charakter jego panowania, mniejsza o to, czy z udziałem jego woli, czy bez. Na olbrzymich przestrzeniach państwa zaplanował wszystko przygniatający strach: życiem ludzkim rządziła policyja, myślą—nieubłagana cenzura. A przecież... i tak się poruszała.

Myśl, odsunięta zupełnie od wpływu na życie, zwróciła się do fikcji, do rzeczywistości, przetworzonej przez wyobraźnię. Ten drugi okres ruchu rewolucyjnego możnaby słusznie nazwać literackim. Nietylko dlatego, że prym w nim trzymają publicyści, Hercen, Bielinskij, Czernyszewskij, Pisarew, Dobrolubow, Michajłow, ale i dlatego przedewszystkiem, że krytyka nie kieruje się ku bezpośredniej rzeczywistości; jednym z najgłówniejszych oręży propagandy staje się recenzja literacka. Odsuwa to znowu pisarzy i działaczy od życia, zamyka ich w świecie wyobraźni, nie zmusza do liczenia się z istniejącymi warunkami.

Na tych pisarzy wpływa początkowo wszechpotężna filozofia Hegłowska, potem brutalny materializm, który jest zaprzeczeniem wszelkiej filozofii, a, przepuszczony przez umysł Pisarewa, daje wyniki, zdumiewające prostoprostu swym barbarzyństwem. Brak równowagi w poglądach, bo w świecie wyobraźni równowaga jest niepotrzebna. To, co na Zachodzie jest wnioskiem i udziałem nielicznych jednostek, na gruncie rosyjskim jest podawane do wierzenia i brane z isticie dziecinną, albo raczej chłopską wiarą w prawdę wszelkiego słowa drukowanego. Niezdarne powieści (*Czto diełat'*) znajdują niestychane powodzenie i nabierają znaczenia programów i odezów. Prócz tego oczywiście opracowywane są zupełnie na seryo i w najdrobniejszych szczegółach prawdziwe programy przekształcenia ustroju państwa i społeczeństwa.

Ruchu z tego okresu czasu nie można jeszcze nazywać socjalistycznym, jakkolwiek niektórzy pisarze są już socjalistami z przekonania. Odpowiada on raczej określeniu najskrajniejszego radykalizmu i krytycyzmu, bez żadnego dogmatu, gdy socjalizm opiera się właśnie na dogmatach i artykułach wiary.

Przez czas jakiś dążenia nie wykraczają po za granice literatury. Ale nowe rozczarowanie, wywołane nadmiernymi nadziejami reform Aleksandra II, reakcja po powstaniu 1863 roku, które w ówczesnych kierunkach opozycyjnych cieszyło się bezwzględna sympatią, zmieniają hasła literackie w czyny. A czyny pójdą dwoma drogami: niecierpliwie—terroru, na dłuższą metę obliczone—propagandą wśród ludu. Bo ten ciemny lud staje się alfą i omegą przyszłości: „nie nauczać go — czytamy w jednej odezwie—ale zbliżyć się powinna inteligencja”. On sam reszty dokona...

Zgubne złudzenie! I—rzecz ciekawa—podzielane przez rząd i rewolucję. Na dwóch krańcach trzydziestolecia widzimy inteligencję rewolucyjną, idącą do ludu, i rząd, zapewniający posłom włościańskim umyślną przewagę w pierwszej Izbie rosyjskiej. Rozczarowanie obu stron było równie wielkie.

Na „pójściu w lud” urywa się część pierwsza ciekawego dzieła; p. Kulczycki w przedmowie zapowiada jeszcze kilka tomów, które o dalszym rozwoju ruchu rewolucyjnego w Rosji mówić będą. Tom pierwszy odznacza się bardzo starannem i źródłowym opracowaniem, oraz spokojną obiektywnością tonu, która nie przeszkadza w niczem wyraźnym sympatyom autora.

W konkluzji czytamy, że „szybkie przyswajanie sobie przez inteligencję rosyjską najświeższych prądów społeczno-politycznych i umysłowych Zachodu... nadało liberalizmowi rosyjskiemu pewną szerokość poglądów społecznych, jakiej pozbawiony był i jest liberalizm zachodnio-europejski”. Zapewne. Jednakże zamiast tej szerokości poglądów wolelibyśmy może maleńką cząstkę rzeczywistości, w postaci chociażby nietykalności mieszkania i wolności prasy, bez których nie może sobie wyobrazić życia „pozbawiony szerokości poglądów” liberał zachodnio-europejski.

Ta sprzeczność pomiędzy szerokością poglądów z wązkością życia i pragnieniem zwężenia poglądów a rozszerzenia życia będzie też zapewne ostatniem wrażeniem krytycznym czytelnika książki p. Kulczyckiego. Autor pisze, że ma na celu, ażeby książka jego przyczyniła się do lepszego zrozumienia stosunków rosyjskich. Rozumiemy dobrze, jakie czynniki wpłynęły na ukształtowanie się takie a nie inne ruchu rewolucyjnego w Rosji: i wcześniejsze utworzenie się państwa niż społeczeństwa, skąd potęga pierwszego a słabość drugiego, i nieustanne spiski pałacowe od Piotra I do Aleksandra I, dające przykład zamachów z góry, i pewna stała beznadziejność położenia. Niemniej jednak uderza w ruch rewolucyjnym rosyjskim przedewszystkiem niemoc czynu zbiorowego, a ta cecha określa niewiarę, pesymizm i sceptycyzm co do jego wyników.

*) Ludwik Kulczycki „Rewolucja rosyjska”, Lwów, 1909, B. Połoniecki, str. 486.





KRAKOWIAK

WINCENTY WODZINOWSKI

ZDZISŁAW DĘBICKI:

WINOBRANIE.

Więc wszystkie już z mojego ogrodu owoce
Dojrzały i żadnego więcej nie wyłocę,
Ani mu barwy dodam, żeby był nad inne
Kraśniejszy i soczystszy? Więc jagody winne,
Którym chronił od wiatrów troską bezprzykładną,
Więcej już blasków złotych słońcu nie odkradną?

I jakież będzie nikłe, smutne winobranie,
Czemże dzbanki napełnię i co mi zostanie
Na szarugi jesienne i na dni zimowe,
Kiedy serce ostygnie, szron obiele głowę,
A myśli się rozpierzchną, jako ptaków stada,
Z których każde gdzieindziej na nocleg zapada?

Niedobrym snąc od wiosny ogrodnikiem byłem,
Żle swe grzędy skopałem i rodzajnym item
Nie pomogłem swej glebie, a później za mało
Na straży moich winnic czujne oko stało,
Tak, że pszczoł lekko-nózek rozbrzęczone roje
Mogły często nawiedzać kwietne sady moje...

A poznawszy raz drogę, szły do innych w posły
I powoli z mych kwiatów stodki pył wyniosły,
Aby w ulach swych plastry ponapełniać
miodem —
Tak ogród mych nadziei stał się mým zawodem,
Mimo że pilnie patrzył i wychodził co dnia
Bronić wrótni przed wejściem płochego
przechodnia...

Nie pomógł mi ostrokół, ani żywopłoty,
Sadzone w tajnej trwodze, pod wpływem
tęsknoty
Do chwili przynajstodszej, gdy owoc dostały
Żadne ręce we własnym będą sadzie rwały,
Wiedząc, że oto w nim jest sowita zapłata
Za modlitwę wiosenną, za zbożny trud lata...



Więc oto dziś, gdy patrzę, jak zbierają płody
Przyjaciele, co mieli w sąsiedztwie ogrody,
Jak się łożą ich bujne gną pod ciężkiem gronem,
Stoję smutny nad cierpkim i na pół zielonem
Winem własnem, straciwszy krzepiącą nadzieję,
Że mi jeszcze na słońcu jesiennem dojrzeje...

Próżno codziennie wyglądam jaśniejszej pogody —
Wiatr się zrywa i idą przedzimowe chłody,
Wciąż pustką i żalem w moje biedne oczy!
O tej porze — kto szczęsny złote wino tłoczy
I napełnia niem dzbanki z wypalanej gliny,
Radując się nadejściem wesołej godziny...

Oto już wokół wszyscy ogrodnicy marzą,
Że się zejdą na ucztę i z wesołą twarzą
Zasiądą w okrąg stołu na dębowej ławie...
Jeśli przyjdą i do mnie — cóż na stół postawię,
Gdy pieśni winobrania z tryumfem popłyną?
Z niedojrzałych owoców cierpkie, kwaśne wino...

KAROL MAKUSZYŃSKI:

KABARET PARYSKI.

II.

Stworzony przez Rudolfa Salisa „Chat noir” zrewolucjonizował cichy dotąd Montmartre. „Chat noir” przyciął się w ciasnym lokalu, zawalonym gratami wszystkich stylów i epok, wyglądającym jak muzeum starzyny, skupionej po śmierci właścicieli-suchotników, jak sklep antykwarski. I coraz to więcej przybywało mu sprzętów i co raz to cenniejszych, miał przecież w swych ścianach najpierwsze malarskie talenty, które tu rozpoczynały karierę, aby potem zasłynąć na Europę. W doskonałym dziełku niemieckim Ericha Klossowskiego („Die Maler von Montmartre”) znaleźć można litanię nazwisk; w innym, G. Montoyi („Le roman comique du Chat Noir—Paryż, u Flammariona 1897) kartę dziejów tego wspaniałego przybytku, który się rozstawił na świat cały, sam śpiewając w niezrównanych wierszach chwałę swoją, żywot swój burzliwy a świetny, potęgę swoją, która zdumiała życie, kpiąc zeń serdecznie, urok swój, który stolicę świata bez trudu wziął w niewolę.

Przewspaniałe życie miał „Chat noir”; cały był rozśpiewany, cały grał przepychem obrazów, które stworzono na jego cześć. I wśród tego śpiewania ciskał ze śmiechem pioruny na Paryż, jak na Bastylię, szalał, kpił, huczał, zanosił się od śmiechu, potem się rozczulał nad jakąś rzewną, serdecznie płaczącą zwrotką piosenki jakiegoś

poety, co pod arkadami mostów sypiał i którego zdradziła kochanka, więc przyszedł tutaj, aby swój cichy a wesoły ból wyśpiewać tym, z których każdy był taki, jak on. Dostojne bowiem było to zgromadzenie „ludzi bez zajęcia”, o których z taką pogardą mówi matka Luizy w Charpentiera operze. Były to dusze najpiękniejsze z pięknych, których nic nie łączyło z nikim; najbiedniejsi z biednych samotnicy, włóczęgi z a u ł k ó w, śpiewacy nędzy, malarze głodu; wygłodniałe trubadury, straceńcy, nie mające ni-



Henry Col, śpiewak Montmartru. Rys. Z. Brunner.

czego na sprzedaż, dusze bujne i wyniosłe; książęta niezłomni, których nie zdołała ugiąć nędza, nie potrafił zmrozić siekający ich twarze deszcz jesienny; bohaterowie zwidzeń swoich i swoich złudzeń; Pierroci nie z tego świata; pyszałki, kpiące z urzędowych świętości, znienawidzeni przez tłum złoty, ukochani przez tłum głodny. Takich już dzisiaj nie ma i takich już nie będzie. Niech im przyświeca wiekiuista chwała, gdziekolwiek leżą w grobach bez nagrobków, lub gdziekolwiek tułają się jeszcze...

Tacy ludzie śpiewali w „Chat noir” tylko dla siebie; wkrótce napelnili dzielnicę zgłębieniem i wrzawą i sprowadzili na nieuczesane

głowy swoje przekleństwa dzielnicy, która się zaroiliła „dzikimi ludźmi”, cyganeryą nieokiełznaną, czyniącą wrzask piekielny bez logicznej po temu przyczyny. Uradzili tedy rozwścieczeni „tubyłcy” dzielnicowi, że należy przepędzić hołotę, której przewodził chytry Rudolf Salis.

Na porządek dzienny, a raczej nocny weszły potyczki w dosłownym tego słowa znaczeniu, walki podjazdowe, w których brały udział z jednej strony zorganizowane bandy właścicieli wzgórze, złączonych wspólnym nieszczęściem, przyrównanem przez nich do plagi egipskiej, z drugiej zaś bandy poetów i malarzy, rozsypujących się podczas walki w ty-



Jacek Cadyers, śpiewak Montmartru.



Jacques Ferny, śpiewak Montmartru.

Rys. Z. Brunner.

ralierkę, nierównie zaś mężniejszych, nic bowiem nie mających do stracenia. Aż oto nadszedł dzień walnej bitwy ulicznej; szły tedy hordy brzuchaczy, spoconych i zachęcających się rozpaczliwym krzykiem do boju, z czym kto mógł, byle wytracić do nogi szarańczę poetycką, a zasie rycerski Rudolf Salis wiódł swoich obszarpańców, swoje wygłodzone wojsko poetów i malarzy na pole chwały, ze zbożną chucią posiekania na mortadellę włoską pucotowatych i wściekłych właścicieli kamienic. Salis miał minę złodziejskiego wodza z trzydziestoletniej wojny i straszyl zapewne swym wyglądem. Bitwa była prawdziwa, na placu bowiem został nawet jeden trup, sam zaś Salis, zboczony krwią, zatrąbił do odwrotu. Zwinęto tedy obóz, pozabierano obrazy, stoły i stołki i rozpoczęto wspaniałą pochód na nowe leże, na ulicę Wiktora Massé. A działo się to w roku 1835.

Opowiada kronika paryskiego kabaretu, że był to odwrót wspaniały; pochód ten historyczny zaaranżował „Chat noir” z całą operetkową pompą; na bulwarach tłumy nieprzejrzane gawiedzi, a oto uroczyste stąpa na przedzie dwóch mężów we wspaniałych kostymach, za nimi w pewnej odległości kabaretowy wielki marszałek, Salis, niewiadomo dlaczego w złożonym uniformie prefekta; tuż stąpają dwa ponure indywidua, niosące godła kabaretu,



Sigillum „Chat noiru”.

za nimi służba, ubrana (o ironio!) w złotem sztyt fraki członków Akademii Francuskiej, niesie obrazy, pościągane ze ścian dawnego lokalu, do nowego, nad którego drzwiami umieszczono, jak na bramie dantejskiej, napis: „Homme! sois moderne!”

W tym lokalu spędził „Chat noir” najwspanialsze dni swego żywota; było tego lat około dwanaście; tu szalał i innych wodził na pokuszenie, stolica rozpoczęła wędrówkę tłumną, wchodziła, śmiała się, patrzyła z podziwem, z zainteresowaniem ciekawością. Sława „Chat noir'u” rosła z wieczora na wieczór, a Salis wysilał pomysłowość, aby nikt nie zwątpił ani na chwilę, że „Chat noir” jest przybytkiem najwspanialszego dowcipu, najsobtelniejszej często poezji, najbardziej zajmującego malarstwa. Za wiele było tego, więc znakomity Henryk Rivière wpada na bajeczny pomysł „chińskich cieniów”. Wzbudza to zachwyt i udoskonala się znakomicie; w repertuar „chińskich cieniów” wchodziły rzeczy niezrównane. Wynalazca uczy innych, i oto coraz nowi znachodzą się mistrze: Willette, Robida, Somm, Caran d'Ache, Ludwik Morin, Fau, z których każdy wysila twórczość i z których każdy daje arcydzieła w swoim stylu.

— „Chińskie cienie” są najpiękniejszą rzeczą, jaką stworzył „Chat noir”—powiada autor książki „Die Maler von Montmartre”.

Na tem zaś wszystkim robi Rudolf Salis ogromny majątek; ten jeden wyszedł ze wszystkich najlepiej; poety śpiewały, a mistrz zgarniał złoto, które cały Paryż znosił. Poety się rozwlókły potem po dawnych swych zaułkach, a Salis kupił sobie zamek. Voila! Obwiozł „Chat noir” po świecie, jak przystało mężnemu impresaryowi, potem umarł, jak przystało porządne- mu, suchotnikowi i jak wodzowi, który umiera wraz z armią swoją. Albowiem „Chat noir” wygasiał, jak wulkan, który wszystką wyrzucił z siebie lawę, zaczął mizernieć w oczach, kiedy się zmienił w przedsięwzięcie kiedy „profanum vulgare” dopuszczono do świątyni, jak do wnętrza cyrku.

Rudolf Salis, głupszy od Cyrana de Bergerac, bandyta zaś wobec Don Kichota, mający romantyczną czelność pierwszego, a posturę drugiego, będący zaś niezmiernie śmieszny karykaturą obu tych zacnych mężów, ma mimo wszystko zasługi ogromne. Imię swoje uświetnił, chociażby przez złączenie z najwspanialszymi nazwiskami współczesnych swoich; zapoczątkował ruch niebywały, napluł w oczy gnijącej, giełdziarskiej, kupczącej duszy Paryża; stworzył to wspaniałe przedmiście, „wzgórze święte”, Montmartre, które wrzało za jego sprawą życiem bujnym i wspaniałem; stworzył siedlisko ludziom, którzy być może bez tej ostoi, byliby zginęli w olbrzymim bagnie stolicy



Gabryel Montoya, autor kroniki „Chat noir'u”. Rys. Léandre.



STRUMYK GÓRSKI (Z Salonu dorocznego w T. Z. S. P.)

A. NEUMAN

świata; zawojował ją ten śmieszny hidalgo w szerokim płaszczu Almavivy z przedmieścia. Imię jego nie zginie...

Z tego ogromnego ruchu, któremu Salis dał początek wypłynęło za czasów jego wództwa, czy też później grono ludzi wspaniałych: Aristides Bruant, Marceli Legay, Juliusz Jouy, W. Hyspa, Bonnaud, Arystofanes Montmartre, Wiktor Meusy, Delmet, Fraquesolle, akademik Donnay; Cros, Somme, Steinlen, Willette, Henryk Toulouse-Lautrec, Léandre, Pille, Caran d'Ache, Quiviére, wspomniany już twórca „chińskich cieniów” i wielu, bardzo wielu innych. Trudno wyliczyć tę gromadę, w której każdy był czemś, z których wielu, jak Willette („Watteau Montmartru”), jak Steinlen, niezrównany, arcy mistrz w swoim rodzaju, jak arystokrata Toulouse-Lautrec („Ontamaro Montmartru”), jak Léandre, kronikarz świetny montmartrowskich typów—wejść do historii francuskiego malarstwa, jako jego znakomici przedstawiciele.

Chwała „Chat noir'u” umarła z nim razem, świetność zaś jego usiłovali wziąć w spadku inni. „Chat noir” stworzył niezliczoną ilość naśladowców, z których nikt nie stanął na wyżynie pierwowzoru, stworzonego przez Salisa. Wzgórze Montmartru zaroilo się wkrótce niesłychanie; złote czasy „Chat noir'u” zaczęły kusić ogromną gromadę przedsiębiorców, wysilających pomysłowość na to przedewszystkiem, aby znaleźć dla swojej budy tytuł jak najbardziej frapujący. Pomysłowość ta stawała się coraz bardziej suchotniczą, a stała się idyotycznie niemądrą w czasach ostatnich. Z powodzi kabaretów, które powstały z naśladownictwa niedoścignionego „Chat noir'u” wspomnieć należy kabaret Bruanta, „les Quat'z'arts”, „Boîte à Fursy”, pierwsze czasy „Moulin Rouge'u”, któremu patronował Toulouse-Lautrec. Dziś jest „Moulin-Rouge” wytworną budą dla kokot i cudzoziemców...

Aristidesowi Bruantowi powiodło się najlepiej po Salisie; w jakiejś obskurnej knajpie na Montmartrze, zwanej się szumnie „Kabaretem Bruanta”, a będącej w istocie obskurną spelunką, napełnioną wrzaskiem przez trzech drabów mocno niepewnej konduity, wisi portret Aristidesa Bruanta. W czerwonej koszuli, zapiętej wysoko pod brodą, wygolony, poważny bardzo, ale tak jak do fotografii, wygląda

poeta ten niezwykle, jak dyrektor szmiry z „Porwania Sabine”. Karyerę zrobił szybko; jedna piosenka („Battignoles”) uczyniła go niesłychanie popularnym; zbiór p. t. „Dans la rue” czyni go sławnym. Bruant robi w krótkim czasie majątek, i pisujący argotem poeta nędzy i prostytutcy kupuje zamek, na którym dni swoich spędza.

W r. 1900 zjawia się „muza Montmartru”, Yvette Guilbert, „trochę zwiędła kokota, trochę angielska guwernantka”. Śpiewa, deklamuje, porywa, targa nerwy, rozdrażnia, irytuje, doprowadza słuchacza do wściekłości. Coś z histeryi i coś z perwersyi, razem jakieś szalbierstwo uczucia, jakaś komediancka tragedia, trupie nastroje z karawaniarskim szykiem; Yvette Guilbert stała się słynną w Europie, niedawno próbowała zaimponować widzom ze sceny w tragedyi i udało się jej to mniej, lepiej znacznie wygląda ze swoim zagadkowym (la! la!) uśmiechem, wyciągnąwszy przed siebie pajęczę ręce, takie jak na portrecie Toulouse-Lautreca.

Obok tych wszystkich wielkich i mniejszych, sławnych i oślawionych, wydał Montmartre nieprzeliczoną komediancką gromadę, która ze sztuki zrobiła interes, z pegaza dojną krowę, z nowości zrobiła aferę, byle zarobić, byle kupić już nie zamek na Południu, jak Bruant i Salis, ale czynszową kamienicę w centrum Paryża. Począł się smutny upadek Montmartru, śmierć wspaniałego zjawiska, które udało się schwytać grubym, złodziejskim rękoma macherów i przedsiębiorców, wierzących w ludzką naiwność i w ciekawość bezkrytyczną cudzoziemców. Na Montmartrze ostał się jeden jeszcze tylko kabaret z tradycjami przeszłości, jest to „Les Quat'z'arts”. Tu śpiewa przepyszne swoje rzeczy Wincenty Hyspa, weteran z Montmartru Rudolfa Salisa, tu pokazują znakomicie robione „chińskie cienie”. Miło mi niezmiernie ogłosić w piśmie polskim, że spadkowiecą Riviéra i Caran d'Acha jest polski malarz, Zygmunt Brunner, mający ogromne i zasłużone powodzenie.

Dla Hyspy i „chińskich cieniów” Brunnera warto ujrzeć kabaret „Quat'z'arts”. W obrazach polskiego malarza jest dowcip wyborny, niewymuszonemu zaś pomysłowi towarzyszy kpiący i drwiący komentarz W. Hyspy.

Z Polaków niewielu dostało się do kabaretowej honorowej legii; z tych, którzy byli, lub są jeszcze, wymienić należy nazwisko niepowszedniego poetyckiego talentu Maryi Krysińskiej i malarza Ludwika Markusa, którego doskonale rysunki zdobią dziesiątki pism.

Historję wspaniałego kiedyś Montmartru należy zakończyć uroczystym odśpiewaniem pogrzebowego hymnu. Już niema „świętego wzgórza”; jest ogromny Grater, jest zbiorowisko spelunk, szynków i hippodromów, sal służących do kinematograficznych przedstawień, knajp z muzyką węgierską w czerwonych frakach, kawiarni „homoseksualistów” i innych takich filozofów z sokratesowej szkoły, jest wszystko, prócz Montmartru, tego Montmartru, o którym Jean Moréas mówił podczas otwarcia „Chat noir'u”, że Helikonem będzie, o którego szczyt Pegaz uderzył kopytem... Umarł i pogrzebion... Wygląda jak artysta muzyk, który musi tłuc w pianino w nocnej kawiarni, jak poeta boski, któremu na to przyszło, że składa reklamowe wiersze na bibułki cygaretowe albo na czekoladę. Umarł i pogrzebion...

Nad drzwiami głupkowato wyglądających spelunk żarzą się płomienne napisy, głoszące, że tu jest „Kabaret pod czarnym psem”, tam „pod pajakiem”, jeszcze dalej „Kabaret piekielny”, albo „Kabaret niebieski”. Żal patrzeć na te małe przedsiębiorstwa, do których, drogi wstęp opłaciwszy i otworzywszy szeroko a serdecznie gębę, wchodzi z trwogą i nabożeństwem cudzoziemiec, ofiara przemysłu przedsiębiorców „kabaretowych”. Wszystkie te budy są pstrokacizną, łowiącą cudzoziemca z dąka; resztę czyni sława paryskich kabaretów, lecz ta już minęła i nie ma nadziei, aby zmartwychwstała w chwale i... knajpie, czyli jednym słowem: dyabli wzięli Montmartre.

Paryż.



ŻYCZENIA NOWOROCZNE

A. MANZINI

BÓG WOJNY.*)

Nowaczyński, malarz wielkich obrazów historycznych, silnym, brawury pełnym malowanych pędzlem, artysta, kochający się w barwach jaskrawych, w efektach mocnych, w wyrazach dosadnych, niekiedy może zbyt dosadnych, twórca szeroko zakreślonych dzieł: „Dymitr - samozwaniec”, „Smocze gniazdo”, „Starościc ukarany”, doskonałych pod względem ruchu, gwaru, charakterystycznych postaci, tchnących wyśmienicie odczuciem życiem danej epoki, pisarz, posiadający rzadki i cenny dar przerzucania się błyskawicznego od napały renesansowych, napały barbarzyńskich momentów dziejowych do wolteryjańsko-rozpustno-rokokowych salonów z czasów króla Stanisława, kiedy to, jak zorza nad bagniskiem, błysnąć miało z przedświtów sejmu czteroletniego słońce majowej konstytucji, napisał impetycznie, widać, że od jednego niemal pociągnięcia pióra, rzecz z 1812-go roku, w której „bogowi wojny”, Napoleonowi, po świeżym pogromie berezyńskim, wali *à bout portant* prosto w łeb bez miłosierdzia, regulując z upadającym cezarem rachunki, dotyczące jego niespełnionych wobec Polski przyrzeczeń.

Rzecz się ma tak. W pierwszych dniach grudnia pamiętnego owego roku w hotelu angielskim w Warszawie, imćpanowie: Gąsiorkowski, właściciel tegoż hotelu, i Przepiórkowski, traktiernik z Napoleońskiej (Miodowej) ulicy, wraz ze szwagierką Gąsiorkowskiego, Rozalką Dietrychówną, panną uczoną, sawantką, mówiącą po francusku i angielsku, rozprawiają o Francuzach i cesarzu. Gąsiorkowski i Rozalka, zwłaszcza ten pierwszy, grubo są z Francuzów niezadowoleni, a co do Napoleona nie mają złudzeń. Gąsiorkowski z ukontentowaniem odczytuje kalambur, który ktoś palcem na kurtce wypisał: „Na... pole... on... nas wywiedzie Polaczków!...”, żałuje też „pruskich czasów” i gubernatora Koehlera. Pan Przepiórkowski, w przeciwieństwie, jest zdeklarowanym zwolennikiem zwycięzcy z pod Jeny i Austerlitz, choć na oficerów francuskich też się żali, bo mu w handlu zrobili szkodę. Rozmowa zręczna, charakterystyczna, wprowadzająca czytelnika w nastrój odpowiedni.

Brzęk dzwonek, czterokonne sanki; w drzwiach staje Mikulicz, pocztmistrz z Marjampola, i zamawia pokój dla Jaśnie Oświeconego księcia Wicenzji, marszałka Caulincourt'a. To właśnie przybyć ma *incognito* Napoleon z Caulincourt'em. Nikt o tem nie wie. Mikulicz zawiadamia o zniesieniu wielkiej armii, o pogromie niezwykłego dotychczas cesarza. Rozalka ma narzeczonego w dywizji generała Portonneaux. Zaniepokojenie, trwoga. Na progu Rustan, mameluk cesarski, w pokój szaro; wchodzi Napoleon, okutany cały, za nim książę Wicenzji; Bartek, palipieca, zwaryowany stary żołnierz z pułku ułanów Konopki, z wojen hiszpańskich, udekorowany legią, zdaje się, że poznaje cesarza; krzyczy: „Vive l'empereur!” Caulincourt wysłany po Stanisława Potockiego, po Pradta... i po wybornego Chambertina Potockich. Napoleon sam z Rozalką. Myje się w alkwie. Rozmowa

z początku dość spokojna, później ostra, coraz ostrzejsza, przechodzi w burzę. Rozalka dopytuje się o batalion szósty, w którym służy jej narzeczonego, Napoleon o wiadomości gazet angielskich, o których Rozalka wspomina. Silne wyrzuty dla cesarza, mocna krytyka jego czynów, wszystko w przekonaniu, że mówi się z księciem Wicenzji. Napoleon z alkwówki wchodzi. Panna poznaje go. Przerazenie.



SCENA Z PIEKŁA (Muzeum brukselskie)

ANTONI WIERTZ

Potem: Dziewczyna ładna, zgrabna, podobna się Napoleonowi; próba zdobycia na jedną chwilę. Nie! Potem znów zarzuty, bardzo przykre, bardzo bolesne. Czy ja wiem? Ta rozmowa nie wydaje mi się prawdopodobną. Widzę w niej przedewszystkiem jedno. Ten Napoleon, samolub, tyran, lekceważący śmierć tysięcy walecznych, ten upadający cesarz, besztany sromotnie przez pannę Rozalkę Dietrychównę, to jednak wielki, wielki człowiek. Nie wiem, czy było to w intencjach autora, ale, pomimo wszystko, co się o nim mówiło i co się do niego mówi, bije od tej postaci czemś, co zniewala duszę i każe myśleć, krzyknąć prawie: A jednak to geniusz! a jednak to orli, podniosły duch!

Bo choć on potem tak dziwnie o Polakach mówi z życliwym dla Polski księdzem Pradtem, wielkim posłem francuskim w Warszawie, choć tak wykrętnie rozprawia o Polsce ze Stanisławem Potockim, choć żąda nowych wielkich ofiar od zubożonego, wycieńczonego kraju, a niema chęci dać wzamian tego, czego najgoręcej pragną Polacy: całej Polski; to jednak nie mogę zapomnieć tego, że



PRZEDDZIEŃ WATERLOO, autolit. H. de Grouxa.

dzięki jemu właśnie rozniosła się sława imienia polskiego tak szeroko, jak nigdy przedtem, że bez niego nie mielibyśmy na własność nawet tej czątki ziemi naszej, która się Księstwem Warszawskim nazywała, że bez Napoleona wreszcie nie wiadomo, co by się stało z tą Polską pod rządami pruskimi i austriackimi, z tą młodzieżą naszą, gnijącą w bezmyślnym, marnym życiu zabaw i rozpusty, tak jak żył książę Józef i cała prawie młodzież polska przed epoką wojen napoleońskich. A wydaje mi się, że lepiej i szlachetniej i piękniej jest ginąć w bitwie za ideały, chociażby urojone, lub nie mające się urzeczywistnić, aniżeli ginąć w rozpuszcie bez świadomości nawet, że ideały takie istnieją na świecie.

Ja nie wiem, czy Nowaczyński chciał, aby Napoleon Wielki był w jego sztuce Napoleonem małym, ale on nie jest mały, on stanowczo i tu jest wielki. Pomimo, że autor ma intencję do skarykaturowania, że tak powiem, do spospolitowania olbrzyma, olbrzym pozostaje tym, kim był. On taką samą glorię miał nad czołem pod Arcole, pod Kairem, pod Marengo, pod Moskwą i taką samą będzie miał pod Waterloo i na Świętej Helenie. I mnie się zdaje, że Bóg umyślnie stracił go ze szczytów tronu świata na bezludną prawie, skalistą wyspę na oceanie, gdzie umarł jak męczennik w niewoli, aby ten stygmat męczeństwa przywarł do skroni orła-wygnańca i aby pozostała po nim pamięć jakiejś nadludzkiej wizji, która tylko raz jeden w ciągu tysięcy lat przychodzi na ziemię i trwa przez wieki w cudownej legendzie.

Oczywiście, pisarz tej miary, co Nowaczyński, wie co robi i robi tak, jak chce. Wolno mu mieć swoje poglądy na postaci historyczne i nikt niema prawa zarzucać mu, że pojął kogoś i przedstawił tak a nie inaczej. Zasadniczo, nigdy nie może być kłamstwa w tem, co stworzy prawdziwy artysta: on się na to patrzy tak—i rzecz skończona. A że Nowaczyński jest prawdziwym artystą, więc miał zupełne prawo odtworzyć takiego właśnie Napoleona, jakiego widział oczyma swojej duszy.

A. O.

Wywiady i wywiadowcy.

Jeślibym miał odpowiedzieć na pytanie, na czym stoi i czym się trzyma dobrze redagowany dziennik, odpowiedziałbym bez wahania, że nie tylko na publicystyce, ale i na reporterce.

Wykształcony, rzutki, umiejący zdobywać wszechstronne i źródłowe informacje reporter jest dla dziennika prawdziwym skarbem.

Niestety, w prasie polskiej takich „skarbow” jest jeszcze niewiele. Z małemi zastrzeżeniami można nawet powiedzieć, iż dział ten w naszych pismach obsługiwany jest najgorzej, najnieudalej, przez ludzi najmniej do tego powołanych.

Złożyły się na to dwie przyczyny. Z jednej strony anormalne warunki naszego życia wogóle, a co zatem idzie, pozostawienie przez prasę z konieczności na uboczu najważniejszych jego dziedzin. Tak naiwna np. teoria życia publicznego, jak polityka, tętniąca gdzieindziej najsilniej, u nas przez długie lata płynęła gdzieś głęboko pod ziemią, uderzając słabym pulsem, uchwytnym tylko dla wtajemniczonych. Prasa legalna nie mogła ani tego pulsu pilnować, ani informować o nim szerszego ogółu. Stąd przeciętny reporter warszawski z konieczności musiał zostać kronikarzem drobnych wypadków miejskich, specjalistą od opisywania pożarów, odwiedzania dzieciobójczyń i t. p. sensacyi dnia. Blowitz'e rodzić się nie mogli.

*) Adolf Nowaczyński: „Bóg wojny”, epizod napoleoński. Kraków. Gebethner i S-ka. 1908 r. Cena rub. 1.35.

Drugą stroną kwestyi jest pogląd, jaki wytworzył się u nas na prasę reporterską wśród sfer dziennikarskich. Brak dziennikarzy zawodowych, brak tej linii demarkacyjnej, jaka odgranicza gdzie indziej dziennikarza od literata i odwrotnie, napływ literatów do dziennikarstwa i aspiracje literackie pracowników dziennikarskich sprawiły, iż w dziennikarstwie naszym powstały pewne szczeble hierarchiczne i że na najniższym z tych szczebli stanął reporter.

Pogląd to najzupełniej mylny, a w skutkach swoich dla ogólnego poziomu prasy szkodliwy, gdyż ludzie, posiadający wykształcenie i talent publicystyczny, obawiając się tytułu reportera, wolą tłumaczyć telegramy, niż prowadzić dział kroniki bieżącej.

Nic też dziwnego, iż w takich warunkach reporterka w większym stylu nie mogła się u nas rozwinąć.

Oczywistym dowodem tego są niepowodzenia, z jakimi stale spotyka się w prasie naszej jeden z najpoważniejszych działów reporterki współczesnej—*wywiad*.

W samym wywiadzie niema nic złego. Jeżeli człowiek wykształcony, taktowny, umiejący się szybko orientować, uda się do specjalisty, dobrze znającego daną sprawę, i potrafi usłyszeć od niego poglądy umiejętnie zreferować—wszystko jest w porządku. Publiczność czytająca otrzymuje dobre informacje, a ten, kto ich udzielił, żadnej straty nie ponosi.

Jeżeli jednak wywiadowca zarzuci wywiadywanego chaotycznymi pytaniami, a usłyszane odpowiedzi popłacz tak, iż po ogłoszeniu ich drukiem wywiadywany nie pozna wcale słów swoich i będzie musiał je prostować—wówczas wywiad jest nie tylko rzeczą śmieszną, ale wręcz szkodliwą i dla społeczeństwa, źle poinformowanego, i dla dziennika, tracącego przez to zaufanie, i dla wywiadywanego, który czuje się przez to dotkniętym i urażonym, a co zatem idzie, staje się wprost niedostępnym dla prasy.

Niestety, obok wywiadów pierwszej kategorii zdarzają się u nas zbyt częste wywiady i tej drugiej kategorii.

Wynika to jednak bynajmniej nie z tego, żeby *wywiad*, jako taki, był rzeczą niewłaściwą, ale, i podkreślam to jeszcze raz z całym naciskiem, jedynie stąd, że wśród reporterów, spełniających trudną rolę wywiadowców, mało jest jednostek, do tej roli przygotowanych.

Zastrzegam się, iż nie myślę o bohaterach humbugowej prasy amerykańskiej, o tych dziennikarskich Sherlockach, umiejących wkręcić się wszędzie, o tych urekawicznionych i ucyklindrowanych *dżentelmanach*, którzy potrafią przez dziurkę od klucza zaglądać do gabinetu męża stanu, przy pomocy przekupionego lokaja lub pokojówki wykraść tajemnicę z biurka dyplomaty lub w porozumieniu z metrampażem innego dziennika wydobywać dla swojego organu „odbitkę szczotkową” sensacyjnego artykułu.

Zostawmy takich zdobywców cudzych myśli i popisów prasie amerykańskiej, jednocześnie zwróćmy uwagę na to, aby pracę reporterską przestano u nas uważać za „gorszy gatunek” pracy dziennikarskiej, przeciwnie, nauczmy się ją cenić i szanować, a wówczas niewątpliwie szeregi naszych reporterów zwiększą się i zmniejszą przez dopływ poważniejszych i lepiej przygotowanych sił, które potrafią umiejętnie i z pożytkiem dla wszystkich wyzyskać to pierwszorzędne źródło wiadomości, jakim jest dla dziennika dobrze przeprowadzony *wywiad*.

Wówczas wśród ludzi „wywiadywanych” zniknie także lęk przed tem, iż ich myśli przybiorą w druku kształt obcy, a słowa zostaną przekręczone...

Z. D.



KOLENDNICY

WŁODZ. TETMAJER

Z KOLENDĄ

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Cyk... cyk...

Stary zegar wciąż gada i gada,
Stary zegar wciąż stuka i stuka...

Cyk... cyk...

Mierzył chwile dla dziada, pradziada,
Mierzy chwile dla wnuka, prawnuka...

Cyk... cyk...

Przez śnieżne pola myśl leci, po grudnej drodze idzie i wszystkiemu spotkanemu na Nowe Lato życzy.

Witajcie, chaty niskie, betleemskiej stajence podobne.

Hej! kolenda! kolenda!

Świąteczka niktę od was migocą, przez małe szybki, w szczere pole polatują.

Przy kominie matuś zadumana i drobiazgi w lnianych świtkach, śpiewający o Dzieciątku, o królu Herodzie, o Matce Przenajświętszej...

„Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław krainą miłą
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę, Swą siłą”...

Hej! leci pieśń! po stragarzach, po świętych obrazach z zatkniętym wiankiem zielnym się snuje...

Śpiewają chaty niskie, jedna, druga, dziesiąta! śpiewa wieś cała!

— Hej! kolenda! kolenda! — rozlega, aż hen ku borkom ciemnym, ku wodom srebrnym, ku polom śnieżnym.

Po grudnej drodze rozlega.

Kolendnicy idą. Zawodzą skrzypce, dudlą basy, połyskuje „gwiazda mieniąca”...

Już ich tylko patrzeć...

Już są...

Już dzwoni po grudnej drodze po smutnej duszy wtóruje...



„Kuba nieboraczek
Nie miał Panu co dać...

Nie miał Panu co dać,
Kazali mu skakać,
Hej kolenda! kolenda!”

Masz ty, Kubo nieboraku! masz ty, wsi nasza, masz, chatyno chłopska! Masz ty, masz co zanieść Panu nad Pany!

Zaniósłś Mu w Godnie Jego święto swoje myślenie serdeczne, swoją krwawicę znoju, swoje bytowanie powszednie, swój wieniec trosk i niedoli!

Nosiłaś ty od lat na żłobkowego siana posłanie i swoje tajne i jawne, i swoje byłe i przyszłe, siebie samą nosiłaś zimową, nocką chato!

Chadzałaś do tego Dzieciątka zawsze, Jemu swój pacierz, swe pasterne śpiewanie, swój chlebus poświęcony ofiarując.

Nie z pustą ręką szłaś ty ku Niemu, nie z pustą duszą — zgrzebną.

Niosłaś Mu szkaplerz pokutny swego narodu, na twej pracownej piersi zawieszony.

Bądźże tym szkaplerzem! po wiek wieków bądź! chato-oraczko!

Bądź! Amen.

Cyk... cyk...

Stary zegar wciąż gada i gada,
Ciągłe cyka w miarowym napięciu...

Cyk... cyk...

Czy też chwile mierzone za dziada
Dziś, po latach, wymierzy wnuczęciu?

Cyk... cyk...

Przez śnieżne pole myśl leci, po grudnej drodze idzie i wszystkiemu spotkanemu na Nowe Lato życzy...

U starego dworu przystanąła...

Hej! kolenda! kolenda!



STARYM ZWYCZAJEM. Fot. Modzelewski

Już na drzwiach Rok Nowy pod godłem „Trzech Króli” wypisany.

1909.

K. M. B.

Czego ci życzyć, stary dworze?

Tyle życzeń szło ku tobie tą grudną drogą! tyle pragnień! tyle marzeń!

I nie doszło, a ty czekasz jeszcze? czekasz co świt, co zorza...

I trwasz, od wieka trwasz... w czekaniu upragnionem.

Czego ci życzyć? co gościńcem przynieść? Masz już i dla siebie podarek kolendny, stary dworze dziadowy...

Jedną z chwil minionych ci przyniosę, jedną z byłych gwiazdeczek zaświecę.

Sto lat jej, jak obszył! sto całe!

Poszukaj w wspomnieniach, po starych obrazach popatrz, ścian białych zapytaj...

Posłuchaj, jak stary zegar podzwania rocznicę, jak kurantowem echem leci:

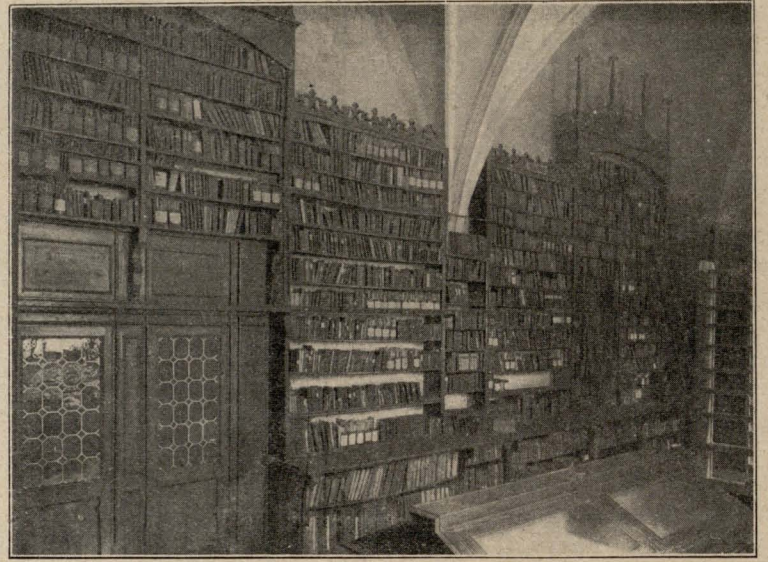
„Ale niech żywi nie tracą nadziei,
Lecz przed narodem niosą oświaty kaganiec”.

Bądź-że tym kaganiec! dworze wiejski! Bądź!

KAZ. LASKOWSKI.



SALA OBIEDZIŃSKIEGO



BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA.

SALA WAZÓW

Macierz książnic polskich.

Gdyby ze wszystkiego, co wytworzył duch polski w ciągu tysiacletniego swojego rozwoju, pozostała tylko sama Biblioteka Jagiellońska, to ona jedna starczyłaby za dowód niezbitą wysokiej kultury polskiej, ona jedna stanowiłaby miarę wysokości poziomu, na którym znajdował się naród polski wówczas, kiedy sąsiedzi jego tonęli jeszcze w otchłani ciemności i barbarzyństwa.

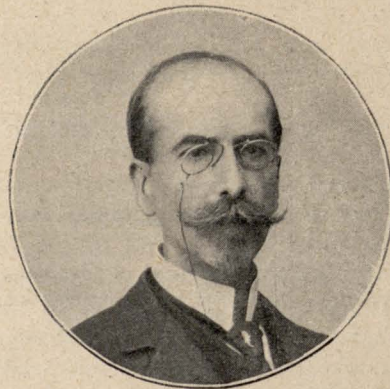
Losy tej najstarszej książnicy polskiej związane są jak najściślej z dziejami Polski. Założona niemal równocześnie z uniwersytetem Jagiellońskim, była biblioteka jego tak samo, jak on, przedmiotem troski i starań ze strony całego ówczesnego, oświeconego społeczeństwa polskiego. Korzystając też narówni z uniwersytetem z dochodów ogromnego „posagu”, książnica ta rozwinęła się tak szybko i wspaniale, że wedle dochowanego do dzisiaj inwentarza z XV wieku miała już wówczas 10,156 dzieł, 1,936 rękopisów i 32,000 woluminów. Na owe czasy było to bogactwo olbrzymie, były to skarby, którymi niewiele stolic świata mogło się wówczas poszczycić.

Kiedy rozpoczęły się czasy upadku, zaczęła także i Biblioteka Jagiellońska upadać. W czasie podziałów, kiedy ogromne majątki uniwersytetu Jagiellońskiego rozebrały pomiędzy siebie państwa podziałowe, Biblioteka straciła jedyne źródło swoich dochodów, a rząd austriacki pozostawił ją w tak niesłychanym zaniedbaniu, że, jak opowiada Bredetzky, który w r. 1801 podróżował po Galicyi z polecenia rządu austriackiego, niepodobna w niej było wziąć książki do ręki, aby nie poszarpać gęstych sieci pajęczych i nie wzniecić tumanów kurzu, który grubą warstwą przykrył opustoszały ten, a tak świetny przybytek wiedzy.

Dopiero Rzeczpospolita krakowska zajęła się losem Biblioteki, dając w ten sposób początek jej odrodzeniu. Odtąd Biblioteka zaczyna znowu rosnać szybko i dzisiaj zajmuje w rządzie bibliotek w całej Austrii drugie miejsce ze swoimi 389,826 tomami, 6,240 rękopisami, 2,632 inkunabułami, 9,676 sztychami i t. d. Ogromne te skarby leżą jednak do dziś nie tylko nie używane, ale nawet nieznanie dokładnie z tej prostej, a smutnej przyczyny, że niema miejsca na ich racjonalne rozmieszczenie i brak sił do ich należytego skatalogowania. Wprawdzie przed rokiem oddano do użytku Biblioteki przytykający do niej gmach

kollegium Nowodworskiego, ale wkrótce okazało się, że rozszerzenie to jest bardzo niedostateczne. W nowo uzyskanym gmachu urządzono biura zarządu, salę czytelnianą na 76 miejsc i rozmieszczono drobną część książek, resztę zaś pozostawiono nadal w ciasnych salach, a nawet, jak teologię całą i medycynę, w suterrenach i piwnicach, gdzie ogromne te zbiory napróżno oczekują godniejszego siebie pomieszczenia.

Nowy dyrektor Biblioteki, który po ś. p.



Dr. Fryderyk Papée.

Estreicherze objął jej kierownictwo, zaszczytnie znany w literaturze i zasłużony historyk dr. Papée, przybywszy do Krakowa ze Lwowa, gdzie położył wielkie zasługi o uporządkowania i przeniesienia

do nowego gmachu biblioteki tamtejszego uniwersytetu, rozwija tu całą swą niespożytą energię, zapał i ogromną wiedzę, aby Bibliotekę podnieść na wyżyny nowoczesnych wymagań. Ale ogrom pracy jest tak wielki, że nawet najęzszy kierownik, otoczony sztabem najlepszych i najzdolniejszych współpracowników, nie jest w stanie dokonać tego, co przedstawiałoby dostateczne pensum dla zdwojonej liczby głów i rąk

na lat co najmniej pięćdziesiąt. Przesortowanie blisko pół miliona tomów przez skatalogowanie ich i poprzestawianie wedle zasad dzisiejszego bibliotekarstwa toć przecie trud, któremu nie może podołać tych kilkunastu pracowników mimo całego zapału i poświęcenia, z jakim dla ukochanej przez się książnicy pracują.

Główną przyczyną słabego rozwoju Biblioteki jest bardzo skąpe jej uposażenie, pod względem którego stoi ona na ostatnim miejscu wśród bibliotek uniwersytetów austriackich, chociaż co do wielkości zajmuje wśród nich drugie po wiedeńskiej miejsce.

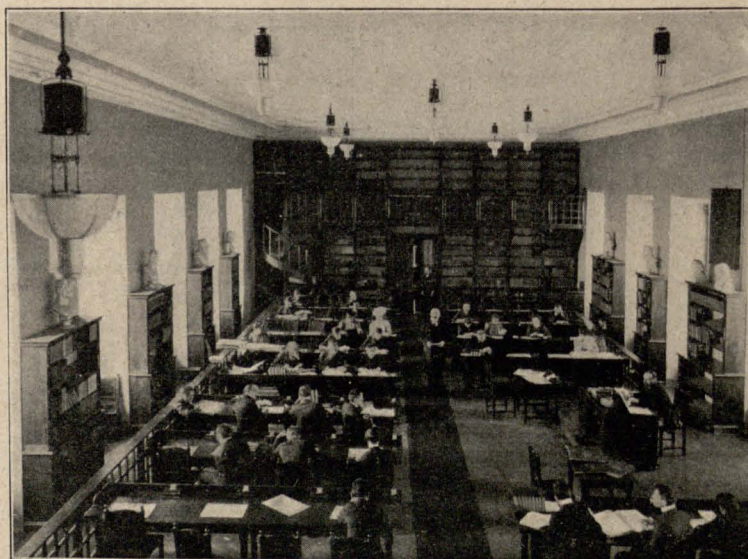
Za czasów Rzeczypospolitej Bibliotekę utrzymywał, jak się rzekło, sam uniwersytet z ogromnych swoich dotacji i dóbr, które dzisiaj, gdyby były ocalały, niosłyby przeszło pół miliona koron dochodu rocznego. Niestety, po rozbiorach dobra te pozabierały rządy, mimo że na kongresie wiedeńskim zastrzeżono ich nietykalność. I dzisiaj najstarsza ta i najwspanialsza biblioteka polska ma wszystkiego 20,000 koron rocznej dotacji, co musi jej wystarczyć na prenumeratę pism, zakupno nowych książek, ich oprawę, tudzież na wszystkie inne wydatki administracyjne.

Także i na zewnątrz gmach Biblioteki — najpiękniejszy niewątpliwie zabytek starego budownictwa krakowskiego, przedstawia dziś widok zaniedbania i upadku, który w tak jaskrawej pozostaje sprzeczności ze szlachetnymi aspiracjami i dążeniami dzisiejszego społeczeństwa naszego. Tynki poodpadały. Piękne kamienne ozdoby ścian, obramienia okien i t. p. kruszeją i świecą wyłomami, których nikt nie poprawia. Nawet dachy przeciekają, jak mi mówiono, a woda deszczowa niszczy potężne mury.

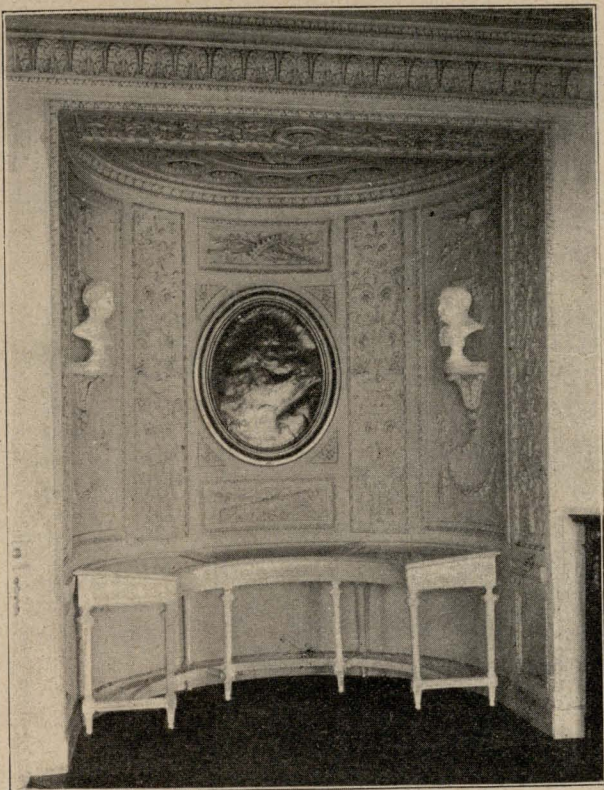
W ostatnich tygodniach sama młodzież uniwersytecka rozpoczęła akcję w celu skłonienia powołanych czynników do gorliwszego zajęcia się losem macierzy naszych książnic.

Odbyto w tej sprawie wiec, w imieniu którego uda się deputacja młodzieży do Koła polskiego w Wiedniu, z prośbą, aby ono wyjednało u rządu powiększenie dotacji rocznej dla Biblioteki.

Wypróbowany patriotyzm i wysoka kulturalność kierowników naszej reprezentacji parlamentarnej w Wiedniu nie pozwalają wątpić, że sprawę tę gorąco wezmą do serca i użyją wszystkich środków celem pomyślnego jej załatwienia.



BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA. CZYTELNIĄ.



Fragment sali tronowej w muzeum Jana III we Lwowie.

Muzeum imienia Jana III we Lwowie.

W chwalebny swem, a wytrwałem dążeniu do stania się także stolicą duchową wielkiego kraju, Lwów posiadał znowu ważne ognisko sztuki i zabytków lepszej przeszłości. Przy końcu ubiegłego miesiąca otwarto tam nowe, trzecie z rzędu muzeum miejskie, w częściowo odrestaurowanej już kamienicy Jana Sobieskiego w Rynku.

Krótką historią tego muzeum przedstawia się, jak następuje. Wśród dwupiętrowych domów, okalających rynek lwowski, znajduje się kamienica, którą w r. 1580 wybudował Włoch Barbon dla możnego patrycyusza lwowskiego Korniaкта, Greka z pochodzenia, ale dobrego patrioty polskiego. Od Korniaktów nabyli kamienicę karmelici, którzy znowu sprzedali ją Jakóbowi Sobieskiego, ojcu króla Jana III. W tym domu też dłuższy czas mieszkał ten król, tutaj przyjmował postów zagranicznych i podpisywał ważne traktaty, np. Grzymułtowski w r. 1686, tu też królowa Marysienka mieszkała po śmierci męża. Z kolei dom przeszedł na własność Rzewuskich. Po nich odziedziczyli go Chodkiewiczowie, a dalej Ponińscy, których spadkobiercy odstąpili go miastu w maju b. r. Rada miejska postanowiła urządzić tam muzeum im. Jana Sobieskiego, przenosząc doń muzealne zbiory archiwum miejskiego, które pod wytrawnym kierownictwem d-ra Czołowskiego wzrosło w ciągu lat i wzbogaciło się tak bardzo, że brak odpowiedniego pomieszczenia dla zbiorów odczuwano już oddawna dotkliwie.

Kosztami miasta odrestaurowano już część frontową obszernej kamienicy. Oficynę i parter restauruje się obecnie bardzo troskliwie, wydobywając z pod grubych pokładów późniejszych otynkowań szlachetnie profilowane sklepienia i piękne sztukaterie ścian.

Szerokimi, elektrycznie oświetlonymi schodami wchodzi się do sal frontowych pierwszego piętra, które już dla publiczności otwarto. W przedścionku kilka starych obrazów, odnoszących się do czasów Jana III. W poczekalni piękne portrety Augusta i Jana III, tudzież szereg figur barokowych nadnaturalnej wielkości, przywiezionych tu z zamku Żółkiewskiego i doskonale odrestaurowanych. W jadalni krakowskiej 46 portretów królów naszych, senatorów i biskupów. Najpiękniejsza jest sala audyencyjonalna, udekorowana wspaniałymi stiukami i ozdobiona 29 portretami, wśród których niejeden ma niepospolitą wartość artystyczną. Znajdująca się tuż obok mała sala tronowa i sala królowej Marysienki, bogato dekoro-

wane, robią wrażenie, jakgdyby jeszcze wczoraj przebywali w nich ich dawni właściciele. Wszystko utrzymano tu we właściwym stylu i smaku: meble, lustra, piece nawet, bardzo gustowne gabloty, w których porządkowano rozmaite pamiątki, jak własnoręczne listy króla Jana III, medale, monety i t. p.

Na drugim piętrze znajduje się właściwe muzeum lwowskie. Zgromadzono tu mnóstwo rycin i obrazów, odnoszących się do historii Lwowa. Dalej rozmieszczono zbiór starych godeł cechowych, sztandarów, kas, pieczęci, medali, monet i t. p. Historycy Lwowa znajdą tu zawsze bardzo obfite źródło i wdzięczny przedmiot badań.

Urządzenie dalszych sal nie jest jeszcze ukończone. Z pewnością jednak będą się one przedstawiały nie mniej zajmująco, niż te, które już dzisiaj można widzieć.

PROFILE LITERACKIE.

AUTOR „CARA-WIDMA”.

Wiktor Gomulicki, talent wielki, oryginalny i szlachetny, zajmuje w literaturze polskiej miejsce własne, odrębne, nie dzieli go z nikim. Jest, jak siejbiarz, co czyste, złote ziarno siał w glebę, potem i krwią je użyźniał, aż zaszumiła zbożem wyniosłem na karm pokoleń; jest, jak ogrodnik, który świtaniem wstał do pracy znojnej a umiłowanej, barwiste, wonne, uroczyste sadił kwiecie—i oto ogród ma własny, piękny cudownie, pełny przepychu, kolorów, tchnący zapachem czarownym, dzwony śpiewem ptaków i promienny od blasków nieśmiertelnego Poezyi słońca.

Ale ten pęśniarz z Bożej łaski, który umie zniewalać dusze ludzkie i władać niemi czarodziejską mocą swej szczerej, wielostronnej, Miłość i braterstwo wieszczącej lutni, nie umiał nigdy przypodobywać się krytyce. Nie umiał — czy nie chciał? Oderwany od życia bezmyślnej Warszawki (nie: czującej, głębokiej, pełnej wielkich wspomnień Warszawy),



WIKTOR GOMULICKI.

zamknął się w swej zacisznej samotni i w towarzystwie gorąco ukochanych, starych ksiąg, sztychów, pamiątek tworzył niezmiernie, wzbogacając piśmiennictwo narodowe to wspaniałą powieścią historyczną, to nowelą, wykończoną kunsztownie, jak arcydzieło renesansowego mistrza, to poematem kolorowym, jak płótno Matejki, to wreszcie książką rymów, tchnących dziwnym urokiem świeżości i krasą, dostojnych myślą, wytwornych nieskazitelną formą, przezyczystych pod względem kryształowego języka. We wszystkim, co napisał — poeta! Poeta pierwszorzędnym, wysokiej szarży, świadomy swego posłannictwa w narodzie, zawsze na posterunku, zawsze gotów do publicznej służby z piórem, jak z szablą w dłoni.

A jednak, kiedy ukazał się „Miecz i łokieć”, jedna z najświetniejszych powieści dziejowych polskich, dzieło, którem szczyciłaby się

każda literatura, obraz wielki, obejmujący całą Polskę XVII-go wieku od żebraka do króla, imponujący mnóstwem znakomicie nakreślonych postaci i niezrównanym odczuciem epoki, owoc nie tylko potężnego talentu, ale i benedyktyńskiego trudu, nikt, prawie nikt nie wspominał o tem. O „Schadzce”, prześlicznym poemacie starowarszawskim, czytałem jedną recenzję, a za „Biały sztandar”, książkę, która, jak apostoł, głosi Chrystusową miłość i tchnie szczytną ekstazą szermierza najwyższych ideałów ludzkości, nagrodzono Gomulickiego bezczelnym pamfletem, odsądającym autora od żdźbła talentu i pomawiającym go o... grafo-maństwo!

Trzeba być prawdziwym, wielkiej miary poetą, i nie tylko poetą, ale kapłanem sztuki i obywatelem niezłomnej duszy, aby w takich warunkach nie ustawać w pracy i ciskać rodakom coraz nowe pęki czarownego, uperłonego rosą łez kwiecia.

Gomulicki pisze od lat wielu. Miał lat szesnaście, kiedy pierwsze poezye swoje drukował w pismach warszawskich. Jego książki utworzyłyby małą biblioteczkę, a jest w pełni sił, w najpiękniejszym rozwoju talentu swego, w nieustannej pracy nad nowymi dziełami. Niema prawie roku, aby nie dorzucił czegoś do skarbca swej twórczości. Idzie wciąż naprzód, coraz wyżej i wyżej, coraz szersze ogarnia widnokreślę.

Autor „Car-Widma” to przedewszystkiem — artysta. Każda rzecz, która wyszła z jego pracowni, nosi na sobie wytworne znamiona rzetelnego dzieła sztuki. Umie on dla pięknej treści znaleźć zawsze odpowiednią formę, tak, że czytelnik czuje, iż tak właśnie i tylko tak, a nie inaczej, wypowiedzieć należało to, co wykwitło w duszy i sercu poety. Suknia, w jaką ubiera myśli swoje, jest dla nich jedynie właściwa, a suknia ta skrzy się najprzedniejszymi klejnotami mowy polskiej. Takie wiersze, jak „El mole rachmim”, „Francuzica”, „Kamienica pod okrętem”, „Na Kanonii”, „Usnęły dzieci”, to prawdziwe perły poezyi rodzimej; takimi perłami zresztą są niemal wszystkie liryki Gomulickiego. W nowelach rzeźbi misternie szczegóły i spleta z nich całość, dziwnie pociągającą tchnieniem melancholii, która prawie zawsze owiewa, jakby mgłą błękitną, te subtelne obrazki. Jest mistrzem dialogu, jest świetnym malarzem tła, które oddaje z niezrównaną prawdą. Postaci jego żyją rzeczywistym życiem, poruszają się, mówią, działają, śmieją się i cierpią. Czujesz krew w ich żyłach, widzisz łzy na ich twarzy, niemal żywasz się z nimi, tak, że z żalem zamykamy każdą książkę Gomulickiego. Ktoś powiedział, że Gomulicki dla swoich obrazów stworzył „styl łązienkowski”. To nieprawda. On ma styl inny dla każdego motywu, ma tych stylów tyle, ile mu trzeba. Miłośnik i znawca przeszłości, odtwarza ją z pietyzmem i z erudycją niestychaną. W jego powieściach historycznych zdumiewa po prostu opanowanie olbrzymiego materiału.

„Car-Widmo” będzie niewątpliwie jednym z najcenniejszych utworów Gomulickiego. W barwnym, jaskrawo kolorowym tłumie zwichrzają się tu: dostojnicy polscy i bojarowie moskiewcy, Zygmunt Waza i Samozwaniec wtóry z Maryną Mniszchówną, rycerstwo polskie, Lisowczyca, kozactwo, kupcy i mieszczenie, oczajdusze i junaki polscy i rosyjscy, bitwy, płomienne obrazy rzezi, szczegóły obyczajowe. Jednym słowem, cała epoka, skąpiana we krwi i płomieniach, brzemienna w wielkie, po dziś dzień widoczne następstwa. ☞



WIDOK MESSYNY I CIEŚNINY MESSYŃSKIEJ. W GŁĘBI BRZEGI KALABRYI.

GRUZY I ZGLISZCZA.

ZMIENIAJĄ POSTAĆ LĄDY I MORZA...

Parturiunt montes... Nikną stare—rodzą się nowe góry. Tytaniczny połów! Ziemia drga w strasznych konwulsjach. Zmiana mapy Europy kosztuje tysiące istnień ludzkich.

Cieśnina Messyńska przestała istnieć. Wąski kanał, przez który niebieskie fale morza Tyreńskiego, zielone od szybkiego ruchu, przelewały się w ciche morze Jońskie, zawałony olbrzymimi złomami skał, jak po legendarnej walce cyklopów.

Nieszczęsna to ziemia! Uwiecznił już ten symbol nieszczęścia Homer. Z pierwszej skały Scylli czyhał na żeglarza potwór o wielu paszczach, a pod niską skałą Charybdy rozwierał paszczę inną, gotowy pochłonąć statek śmiałka. Bajeczne skały zwałone. I nie kilka lub kilkanaście ofiar pochłonął potwór—dziesiątki tysięcy znalazło śmierć w gruzach, płomieniach i rozszalałym morzu.

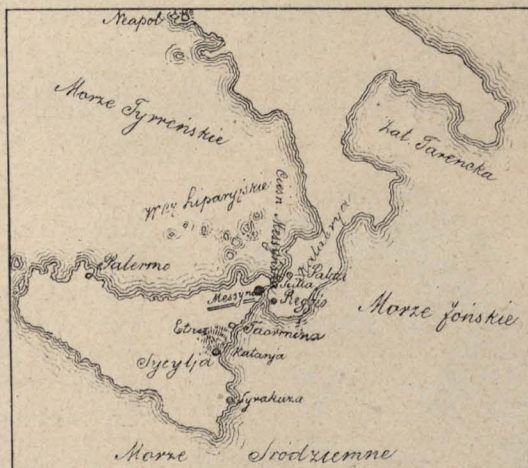
Nieszczęsna ta ziemia pierwszych kolonistów greckich. Zamknięta między Etną a Stromboli, zawsze czyhającymi na zagładę ludzką. Opośdal Wezuwiusz. Pomniki najstarsze przyrody, świadkowie powstawania lądów i mórz, zdają się nieustannie głosić fatalne *memento mori*, wołać, że prochem jesteśmy i w proch obrócić się mamy.

NIESZCZĘSNA ZIEMIA.

Ginęły powoli pamiątki starej cywilizacji greckiej. Kwitnące kolonie zburzyli Kartagińczycy w czwartym wieku przed Chrystusem. Zaledwie odbudowano Messynę z gruzów, przyszli rozbójnicy mamertyńscy. Potem przez dziewięć blisko stuleci zażywała spokoju pod panowaniem Rzymian. Od zdobycia przez Saracenów w r. 831 przez całe wieki średnie okrutne toczą walki na ziemi krwawych niesporów Saraceni, Normani, Hiszpanie, Francuzi. W r. 1783 trzęsienie ziemi burzy połowę miasta, w czterdzieści lat później zalewa je trąba morska. Ostała się tylko jako niemy świadek przeszłości stara katedra, piękny zabytek budownictwa gotyckiego z końca XII-go wieku. Dziś i ta runęła... Niby feniks, odradzająca się nieustannie z popiołu, gruzów, ruin Messyna była dowodem niezmożonej żywotności ludzkiej.

Sycylię, ze względu na bogactwo przyrody, można porównać z krainą Hesperyd. W dodatku rozwój ekonomiczny południa był nieustanną troską rządu włoskiego. Wiele dziesiątków milionów wsiątko już w tę ziemię nieszczęsną a błogostawioną. Przychodzi naraz mgnienie, krótsze od minuty, i wszystko to okazuje się darem...

Gdzie na dużych przestrzeniach ciągnęły się gaje pomarańczowe, gdzie łagodne stoki gór po-



Schemat miejscowości, objętych trzęsieniem ziemi.

kryte były matową szarą zielonością gajów oliwnych, gdzie w czystym błękitnym powietrzu, pod palącym słońcem i gorącymi podmuchami, świadczącymi o pobliżu Afryki, wyrzelały w górę wysmukłe kolumny, bluszczem spowite, gdzie wszystko zdawało się świadczyć o łatwości i wieczności życia i zachęcać do dyonizyjskiego szału—dziś jest pustkowie, zawałone gruzami, po którym błądzą zrzadka postacie w pół nagie i w pół obłąkane. Messy-

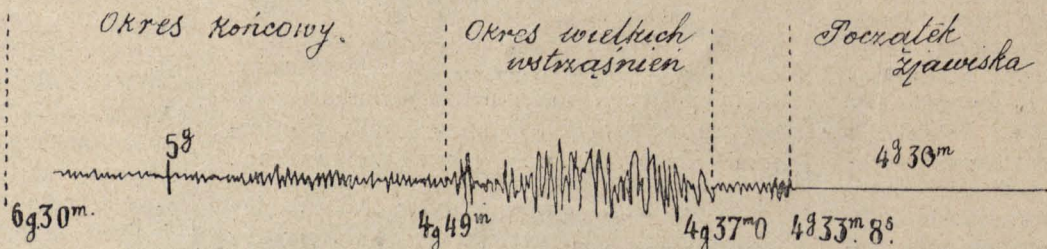
na, Taormina w Sycylii, Palmi, Bagnara, Reggio na przeciwległym brzegu kalabryjskim przestały istnieć.

OSTATNIE TRZĘSIENIE ZIEMI JEST NAJWIĘKSZYM W DZIEJACH ŚWIATA.

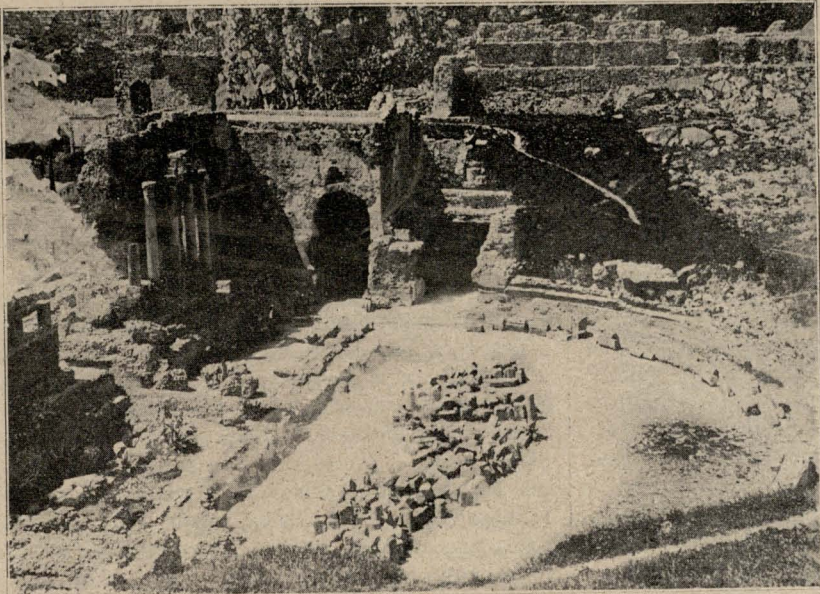
Ostatnie trzęsienie ziemi można nazwać co do liczby ofiar największym, jakie znają dzieje świata. Podają ją pisma na dwieście tysięcy. Tymczasem największe katastrofy w tym rodzaju w r. 19 i 526 pochłonęły po 120 tysięcy ofiar. W r. 79 wybuch Wezuwiusza wraz z trzęsieniem ziemi zasypał Herkulanum i Pompeje; sądząc z rozmiaru tych miast, liczba ofiar nie mogła przerosnąć kilkudziesięciu tysięcy. W r. 1693 trzęsienie ziemi zniszczyło w Sycylii 54 miasta i 300 wsi, ale ofiarą padło sześćdziesiąt tysięcy ludzi. W r. 1755 zburzona została Lizbona (60 tys. ofiar), w r. 1783 w Kalabrii zginęło przeszło 30 tysięcy ludzi. Katastrofy pozaeuropejskie nie były większe, nawet pamiętny wybuch Łysej Góry na Martynice, ani trzęsienie ziemi w San Francisco, które przyczyniło olbrzymie straty materialne, ale pogrzebało tylko 500 ludzi. Słowem, jeżeli wierzyć doniesieniom pism, katastrofa jest największą, jeżeli je nieco zredukować—jedną z największych świata.

Pierwsze uderzenia poczuł mieszkańcy Messyny 28 grudnia r. z. około godziny piątej rano. Wedle notowań seismografu w St. Maur pod Paryżem, po krótkich, małych uderzeniach, które trwały od 4 m. 34 do 4 m. 37, okres wielkich kolebań trwał przez dwanaście minut, czyli do godz. 4 m. 49; potem, jakkolwiek linia aparatu nie powraca do kształtu zupełnie prostego, jaki miała przed 4 $\frac{1}{2}$, to przecież wykazuje drgania bardzo nieznaczne. Wedle opowiadań pozostałych przy życiu, te wielkie uderzenia, które zburzyły Messynę, trwały 23 sekundy.

Odrązu dało się odczuć silne wstrząśnienie. Oszałeli z przestraszenia ludzie uciekali z domów w bieliźnie nocnej. Na głowy waliły się żelazne balkony, kamienne stropy. Z morza powstał olbrzymi słup wody, który zalał dolne dzielnice Messyny. Runął gmach instalacji oświetlenia gazowego. Z niesłychaną szybkością zaczął się szerzyć pożar. A kto nie legł pod gruzami, kto się nie stał pastwą płomieni, gnał bez pamięci przed siebie i ginął od ulewnej zimnej deszczu ze śniegiem, lub nazajutrz—z gło-



Notowania seismografu w St. Maur pod Paryżem, podczas trzęsienia ziemi.



Reggio (na brzegu kalabryjskim) po zburzeniu.



Taormina, u podnóża Etny, na południe od Messyny, nad cieśniną Messyńską.

du. A na gruzy i zgliszcza wypełzali z nor nie ludzie, lecz szakale czy hyeny — w ludzkiej postaci, dobijające dyszących jeszcze, obdzierające trupy...

OPOWIADANIA NAOCZNYCH ŚWIADKÓW.

P. Fortunato Esposito o godz. 5 m. 15 rano był na promie, który obsługiwał wybrzeża Messyny. Usłyszał nagle jakby mocny szum puszczanego w ruch motoru. Prawie w tej samej chwili uczył, jak prom został podrzucony na wysokość obmurowania portowego; kiedy spadł, słychać było wyraźnie uderzenie o dno. Równocześnie jarząca się od latarni elektrycznych esplanadę zaległa ciemność; olbrzymi tuman kurzu zakrył dzieło zniszczenia...

„...Miasto podczas nieszczęsnej nocy—opowiada inny—miało wygląd iście piekielny. Ludzie prawie nadzy uciekali, jak szaleni, po ulicach przed ogniem, przed deszczem, przed walącymi się budynkami. Biegliśmy do morza, do szosy, byle za miasto... Ale błędziliśmy, bo niepodobna było orientować się w zamieszaniu. Wielu zginęło, bo spychali ich w płomień lub gruzy, byle siebie uratować. Nikt nie myślał o ratowaniu innych. Nie mogła tego dokonać ani straż ogniowa, ani wojsko. Dyrektor policji, który sam chciał kierować ratunkiem, padł ofiarą, a synowie jego zostali zmiażdżeni... Ze zwalisk wydobywały się słupy czarnego dymu, deszcz lał, jak z cebra... Więcej nie pamiętam... Bez sił, zmarznięty, padłem gdzieś daleko od miasta... Tam mnie podnieśli...”

Jakiś Niemiec z hotelu messyńskiego Trinacia cudem ocalał, bo zwaliska utworzyły nad nim rodzaj grotu, z której go wyratowano; dawał znaki życia dzikimi okrzykami.

Załoga torpedowca „Saffo” opowiada, że o godz. 5 m. 20 drżenie dna morskiego silnie wstrząsnęło statkiem. „Naraz utworzyły się na gładkiej powierzchni olbrzymie bałwany kilkometrowej wysokości. Fale wściekle rzuciły się na brzeg, zmiatając wszystko, co znalazły na swej drodze. Po chwili na powierzchni wzburzonego jeszcze morza widać było tylko szczątki różne. Ciemna chmura pokrywała miasto, z którego dochodziły rozdzierające krzyki żywcem grzebanych...”

Ocalały mieszkaniec Reggio w Kalabrii opowiada, że przed piątą wyszedł na zwykłą ranną przechadzkę. „Nagle usłyszałem najpierw głuchy łoskot, potem poczułem straszne wstrząśnienie; rozległ się kilkakrotnie ogłuszający huk, jakby strzałów armatnich. Morze z rykiem rzuciło się na dolną część miasta. Naokoło mnie waliły się domy. Biegłem bez pamięci, aż znalazłem się za miastem”.

Dwóch kupców jechało do Palmi, w Kalabrii. „Dworzec był zatłoczony ludźmi, którzy

chcieli uciekać przed klęską. Z okna widać było ponure zwaliska. Z gruzów dochodziły nas rozpaczliwe krzyki. Ratownictwo szło powoli”.

„Pociąg ruszył dalej. Posuwaliśmy się bardzo wolno. Po drodze widzieliśmy olbrzymie szczeliny, rozwarłe czeluście, odłamy ogromne zwalonych skał. Dojechaliśmy tak do Bagnary, która już nie istniała”...

CO MÓWI NAUKA.

Mimowoli ciśnie się na usta gorączkowe pytanie: *dlaczego* powstają podobne katastrofy, w których giną tysiące istnień ludzkich, czy nie można ich zawczasu przewidzieć, usunąć? A ludzie nauki odpowiadają, że trzęsienia ziemi powstają skutkiem powolnego stygnięcia kuli ziemskiej, a co za tem idzie, kurczenia się, które wywołuje fałdowanie warstw, spękania i rozpadliny, że te ruchy skrupy mają wszelkie cechy ruchu falistego, podobnego do obserwowanego na spokojnej powierzchni toni, kiedy rzucimy kamyk, że skutkiem tego trzęsienie ziemi jest silniejsze w miejscowościach dalszych od jego centru, że podlegają mu raczej młode łańcuchy gór, jak Alpy, Kordyliery, niż stare, że wreszcie często wielkie trzęsienia ziemi poprzedzają małe, niby ostrzegawcze ruchy. I są zadowoleni.

Nauka gotuje nam zawód, dość pospolity. Omija pytanie *dlaczego?* i odpowiada na pytanie *jak?* A opis, *jak* powstaje zjawisko, nie uratuje, nie wróci życia ofiarom, nie zapobiegne nowym. Osiodłaliśmy rozrukane fale oceanu i zrobiliśmy z nich dogodne szlaki wędrówek, jesteśmy na drodze do ujarzżenia bezkresu powietrza, a zawodzi nas jedynie ziemia, ten grunt stały, na którym, jakby przez gorzką ironię życia, budujemy wszystkie gmachy naszej przyszłości. Okiełznana przez człowieka przyroda daje czasem znak, że ciężą jej więzy, że jeszcze niezupełnie zaprzęgnięta została do jego celów i w takich chwilach występuje, jak wróg, tem bardziej bezlitosny, że niepojęty, a groźniejszy, niż wojna i zaraza.

OBJAWY WSPÓLCZUCIA.

Katastrofy budzą najmocniej poczucie wspólności gatunku wobec odwiecznego wroga. Na szlakach życia jednostek czy narodów, kiedy w nierozważalnych splotach krzyżują się najrozmaitsze sprzeczne interesy, człowiek jest istotnie człowiekowi wilkiem. Ale, kiedy straszne zwali się nieszczęście, ludzie czują się braćmi i bliźniami.

Milknie głos, cofa się pióro wobec ogromu klęski. Czy mogą być słowa, które wyrażą, co serca czują, i które dziesiątki tysięcy pocieszają? Ze wszystkich stron świata ku słonecznym brzegom Sycylii ciągnie pomoc rządów i ludów, wszystkie myśli, pełne współczucia, ześrodkowują się na tej

ziemi włoskiej, która jest drugą ojczyzną każdego człowieka cywilizowanego. W tym wspólnym żalu, w tym powszechnym bólu wyraża się solidarność gatunku ludzkiego.

Wśród zbieranych na ofiary katastrofy funduszy znajdują się grosze polskie. Wśród głosów współczucia nie zbraknie i głosu polskiego. W tego rodzaju wypadkach naturalną przedstawicielką społeczeństwa jest prasa. Dobrze się stało, że wysłano z Warszawy telegram zbiorowy kilku pism. Szkoda, że inicjatorzy nie postarali się o to, aby telegram był wyrazem współczucia nie pewnych, lecz wszystkich pism polskich. Pominęte—umyślnie, czy przez nieuwagę—bynajmniej nie odczuwają sła-biej wielkiej włoskiej żałoby narodowej.



CO NA SZYBACH MRÓZ MALUJE.

Przez łąkę białą srebrzyście, gdzie srebrne zakwitły kwiaty, zakłeta płynie królewna w srebrze powiewnej swej szaty. Dokoła sennie i cicho, biało i srebrnie dokoła, a ona idzie odszukać swego stróża-aniola. Srebrzyste palmy się chwieją, srebrzyste patrzą lotosy, i lecą srebrne feniksy, co znają smętne jej losy: stróż anioł biedną opuścił, ona po świecie go szuka, niby to żyje—nie żyje! a serce puka tak, puka!

Krajobraz mroźny i srebrny mistyczne światło nasyca, żałosna stąpa królewna w błękitnych blaskach księżycy; lat tyle błędzi już, tyle, w łzach zmarzłych ciężą powieki, a droga zimna i długa, a anioł zawsze daleki. Gotowi walczyć z czarami, samopas w smoków iść leże, tą śnieżną białą pustynią dla niej szli mężczyźni rycerze; śmierć lodowatą swą dłonią gasiła płonące czoła... Pomarli... groby, jak ona, czekają stróża-aniola. Gwiazdy, jak lodu soplek, tęczowo jaśnieją w górze, te gwiazdy z nieba spadają, aby jej ustać podnóże; srebrne feniksy cudowne nuć jej pieśni z za świata. I żyje temi pieśniami, jak te feniksy, skrzydłata.

Czasami w blaskach purpury (lampa to szybę ozłaca) zda się, że anioł czekany do biednej królewny wraca; ona wydziera się naprzód, kaleczy stopy o głazy... i gaśnie złudne świtanie, jak gasło tyle już razy...

Na końcu drogi dalekiej, choć, zda się, blisko, tak blisko, widnieje w srebrnym pejzażu z basztami srebrne zamczysko, srebrna chorągiew powiewa na srebrnej wyniosłej wieży, a w zamku mieszka ów anioł: rycerz i patron rycerzy... Biegnie zakłeta królewna, a ranek słońcem już błyska, na szybę mrozem malowną złociste promienie ciska; i zajaśniało to wszystko na chwilę radości skrami... i jęło blednąć i gasnąć... i rozplynęło się łzami...



SARAH BERNHARDT.

„Matka moja namiętnie lubiła podróżować. Jeździła wciąż z Hiszpanii do Anglii, z Londynu do Paryża, z Paryża do Berlina, a stamtąd do Chrystyanii; wracała z powrotem, uściskała mię i jechała dalej, do Holandyi, która była jej ojczyzną.

„Niańce naszej nadsyłała stąd to z owad suknie i okrycie, dodając zawsze sporą paczkę łakoci—dla mnie.

„Ciotki moje, z których najstarsza miała lat dwadzieścia kilka, pomimo listownych poleceń matki mojej, nie opiekowały się mną prawie wcale; miałam sama wówczas lat trzy, a matka moja dziewiętnaście; babka moja była ślepą, dziadek nie żył już, a ojciec mój przebywał od dwóch lat w Chinach. Dlaczego? nie wiem”...

Temi słowy rozpoczyna się zawieszisty „Pamiętnik” Sary Bernhardt, ogłoszony niedawno drukiem w potężnym wydaniu książkowym, przetłómaczony w lot na wszystkie, języki „wszechświatowe” a obejmujący zaledwie część dziejów osobliwego żywota osobliwej niewiasty.

Pamiętnik urywa się na powrocie Sary do Paryża z pierwszej wielkiej siedmimiesięcznej wycieczki do Ameryki, na wiosnę roku 1881. Wycieczka ta była eksplozją bujnej natury artystki, potrzebującej skapać się w powodzi wrażeń i przetrzącać się z miejsca na miejsce. Sarah zerwała z przykuwającą ją do Paryża Comédie Française, przepłynęła ocean w kajucie, wytapetowanej bladobiałym rypsem, zaznała burzy morskiej i bezprzykładnych owacy, zwiedziła 52 miasta Nowego Łądu, zagrała „Dama kameliową” 65 razy, nie licząc występów w „Adryannie”, we „Frou-Frou”, w „Fedrze” etc. etc. i, syta wielorakich impresji, nawpółżywa od nadludzkiego sfatygowania się, stęskniona za bulwarami, wróciła do Paryża, postanawiając dopiero (!) zostać „wielką artystką”.

„W ciągu kilku miesięcy — pisze — dojrzałam duchowo i wola moja impetyczna doszła do równowagi. Rozwój wewnętrzny i zewnętrzny istoty mojej był dokonany”.

A działo się to lat temu, bez mała, trzydzieści!... Od tej daty do dziś dnia żelazny organizm „wielkiej Sary” panuje oto nad bajecznie morderczym trybem życia, nad eksperymentami zdolnymi porwać na strzępy stalowe nerwy, nad szeroką wreszcie skalą różnorodnych zajęć, prac i umiowań, którym Sarah Bernhardt, na podziw światu, hołdować nie przestaje.

Catulle Mendès, z emfazą godną francuskiego szowinizmu, wyraził się kiedyś: „Rzeczą jest wogóle niepojętą, że *tak* kobieta może istnieć”!

Jednak faktem jest, że istnieje i—nie kwapmy się tak bardzo z obwoływaniem: cudu. Organizmów niespożytych oglądaliśmy przecie wcale nawet pokazną liczbę albo własnymi oczyma, jako to dla przyładu: Gladstone’a lub Bismarcka, albo w wiernej relacji nie do zbytku zamierzchłych dziejów. I przyznać wypadnie, że współzawodnicy Sary Bernhardt pod względem wytrzymałości czysto-fizycznej natury, jako też pod względem nie słabnącej do późnego wieku energii duchowej, nie wspominając o wyteżonej umysłowej pracy o wiele szerszej skali—wytrzymają przecie porównanie z „cudem natury”, za jaki Francuzi swoją rozgłosną autorkę podają.

Co jednak trzyma ją na widowni publicznej do dziś dnia jeszcze? Chybaż nie sama osobliwość jej zjawiska wogóle?

Aby odpowiedzieć w dwóch słowach, nie dość jedną tylko Sarę Bernhardt wziąć przed oczy. Należy uprzytomnić sobie cały, kilkunastoletni ciąg rozwoju kunsztu aktorskiego we Francyi Kornela, Wiktora Hugo, Scribégó i Sardou.

Sarah Bernhardt, jest *tylko* najszlachetniejszym wykwitom wielkiej, zdobywanej i urabianej przez długie okresy lat, wysokiej kulturalności kunsztu aktorskiego francuskiego. Tylko! Przynajmy, że drobny ten wyraz waży niemało w tym wypadku.

W grze Sary Bernhardt możemy oglądać, dziś jeszcze, ostateczne, a wszechstronne wydoskonalenie: mimiki i pozy; wysubtelnioną do ostatecznych granic ekspresję dykcji, nie posługującej się jednak żadnymi zdawkowymi i ekscentrycznymi efektami, polującymi na „nowość”; mamy wreszcie w Sarze Bernhardt reprezentantkę isotnego, twórczego artyzmu aktorskiego, dotwarzającego kształty plastyczne odtwarzanej postaci na podstawie doskonale wyrozumianej i odczutej intencji autora. Bystra inteligencja i szerokie wykształcenie Sary Bernhardt idą w zgodnej parze z jej nadzwyczajnym talentem aktorskim.

Dziś tedy jeszcze ma Sara Bernhardt do pokazywania światu o wiele cenniejsze przymioty niż—fenomenalność. Pewna fenomenalność polega jedynie na tem, że na podziw mocny organizm pozwala jej do dziś dnia pełnić swój zawód publicznie.

Paryż, *comme de raison*, do dziś dnia otacza wielką swoją interpretatorkę dzieł scenicznych pełnym pietyzmu respektem. Jest przecie jednym



SARAH BERNHARDT. Port. J. Clairain'a.

(z żywych, nie muzealnych) objawów głozonego na świat cały „geniuszu francuskiego”! Jakże nie konserwować nad Sekwaną takiej atrakcji i takiego skarbu—w dymie nieustannych kadzideł, aby, strzeż Boże, nie rozeszła się wieść po globie ziemskim, że Francyi jedna jakaś „sława” i „chluba”—ubyła. Przeciwnie! Niech świat nie przestanie wiedzieć ani na chwilę, że Sara Bernhardt — istnieje wciąż jeszcze i, jak przed laty, tak i dotąd stanowi jedną z przednich ozdób *de la Ville Lumière*.

Nawet nie od rzeczy, oględnie, mądrze, pokazać ową ozdobę na mgnienie oka—poza Paryżem. Ot, nie przymierzając, jak ów jubiler, który błysnie tylko cudownym klejnotem przed oczami sz. publiczności i chowa go natychmiast, tak zręcznie operując tym manewrem, aby tylko wiedziano, że sklep jego—najzasobniejszy z jubilerskich sklepów!

Owóz i w chwili, kiedy to piszę, odbywa się takie właśnie wyjrzenie na świat gwiazdy—Sary z paryskiego *étui*. Aby nie sądzono przecie i nie podejrzowano, że paryska Sarah Bernhardt to jakaś—legenda. Nie!

Ona nie tylko faktycznie istnieje *corps et âme*. Ona wciąż jeszcze potrafi urządzić taką *tournee* ar-

tystyczną, na jaką mało kto się zdobędzie. Powoli idą w zapomnienie relacje sążniste gazet o jej—przygodach wycieczkowych, o wysiadaniu prosto z pociągu na scenę etc. etc. Odświeżyć! Odświeżyć! Pokazać, że wciąż jeszcze stać Francję na Sarę Bernhardt najautentyczniejszą, „oryginalną”, jak się mówi w żargonie wino-znawstwa i perfumeryi.

I oto nagle, z miesiąc temu, poranne dzienniki petersburskie zasygnalizowały ni stąd, ni zowąd... przybywanie Sary Bernhardt nad Nowę. Ba! myślałyby kto może, że, jak Pan Bóg przykazał, Nordexpressem przez Berlin, Wierzbolowo? Cóżby warta była taka—pospolicie! Sara Bernhardt, wraz z własną trupą paryską, *ad hoc* skompletowaną, przybyła do Petersburga na szereg gościnnych występów—*via* Bukareszt. Dlaczego? Do dziś dnia niewiadomo. Gdzieś po drodze (relacje sprzecznie określają miejscowość) na pociąg, wiozący Sarę, napadli bandyci; kamień, ciśnięty w szybę, padł... na kolana wielkiej artystki, która włączy go do bogatej kolekcji swoich *souvenir*ów. Aby jednak zdążyć „bez przeszkód” na dzień zapowiedziany do Petersburga, Sarah kazała sobie podać—ekstrapociąg i, pędząc nim bez wytchnienia, zdążyła stawić się—w porę, t. j. na godzinę przed podniesieniem kurtyny. Wysiadła tedy, słyszę, znowu i raz jeszcze: z wagonu prosto na scenę, jak za najlepszych, a jakże dawnych lat!

I... i jakże przyjął Petersburg występy Sary Bernhardt, ów Petersburg, który chłodno i obojętnie przyglądał się arcydziełowi Rostanda, interpretowauemu przez Cocquelin'a? Występy Sary Bernhardt bardzo zainteresowały i publiczność i krytykę teatralną petersburską. Nie tylko zainteresowały. Zachwyciły.

Nie spodziewano się ujrzeć aż takiej obfitości—pańskich ostatków; nie spodziewano się aż tak umiejętnego zatuszowywania szczerb i spustoszeń—czasu. Głos Sary Bernhardt uległ niepowrotnemu spustoszeniu. Tedy i jej „Dama kameliowa” umiera bez dawnych silnych i wstrząsających akcentów, a gaśnie raczej, jak dopalająca się cicho lampa. Nastrojem zastępuje artystka—bogactwo silnej ekspresji dramatycznej. Za to w „Aiglon” Rostanda matowy i łamiący się głos Sary Bernhardt znakomicie podnosi charakterystykę nerwowego a słabego, o zatrutym organizmie, księcia. Podobno też dokonywa Sarah istnego cudu przeobrażenia... sześćdziesięcioletniej kobiety w ośmastoletniego młodzieńca. W „Fedrze” bierze górę prześwietnie wyszkoloną dykcją i przeczystością klasycznego francuskiego stylu. W „Sapho” Daudeta zachwyca wręcz wyrafinowaniem cieniowaniem dykcji, zostawiając daleko za sobą np. Jane Hading; jej Fanny Legrand ma być „jedyną i niedoścignioną w swoim rodzaju”.

Do dziś dnia jeszcze posiada Sarah Bernhardt zdolność: czerwienia się i blednięcia na scenie, mienienia się na twarzy, przeżywania wzruszeń i wrażeń, odtwarzanych na scenie. Natura odtwarzanej postaci staje się, podczas gry, drugą jej, własną, naturą. Wywoływana po skończonym akcie *nie* odzyskuje w mig „prywatności” swojej, lecz pozdrawia publiczność i składa ukłony najzupełniej jeszcze w charakterze i stylu odtwarzanej podczas aktu postaci.

Słowem, o ile z atestacyi naocznych świadków, niemal wczorajszych, wnosić wolno, Sarah Bernhardt, jeżeli przestała już być niedoścignioną i jedynym słońcem na horyzoncie kunsztu aktorskiego, to jest w każdym razie w chwili obecnej wciąż jeszcze słońcem—zachodzącym. To też uracza szerokimi jeszcze, wspaniałymi błyskami, jak właśnie czyni to—słońce zmierzchające.

Takie też najogólniejsze i główne wrażenie sprawiła Sarah Bernhardt w Moskwie, dokąd „zajrzała” w antraktach występów petersburskich, a—niebawem sami tu w Warszawie będziemy mogli albo wrażenie to potwierdzić, lub mu zaprzeczyć.

W powrotnej bowiem drodze do Paryża ma Sarah Bernhardt wstąpić do Warszawy i ukazać się nam na scenie—podobno raz jeden tylko.

A no... zobaczymy.

J.



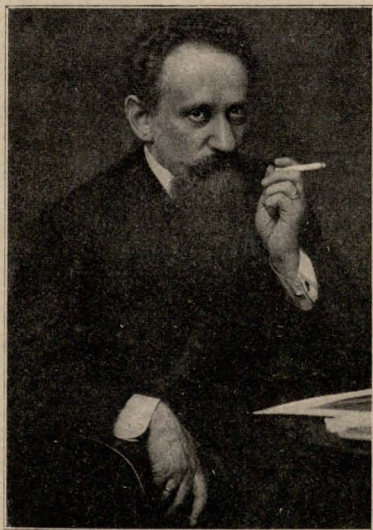
JUBILEUSZE.

ST. A. KEMPNER.

Trzydzieści lat pracy w trudnym i ciężkim, u nas trudniejszym i cięższym, niż gdzieindziej, zawodzie dziennikarskim i publicystycznym to czasu szmat nie mały. Człowiek, który taki okres przemyślał, przeżył, w pracy znoonej ani na chwilę nie spoczął, zasłużył słusnie na jubileusz.

Takim jubilatem noworocnym, dziennikarzem, publicystą i redaktorem—jest p. Stanisław Kempner, kierownik *Gazety Nowej*. Trzy dziesiątki lat minęło od czasu, kiedy jako młody chłopiec począł dawać artykuły i notatki w ówczesnych *Nowinach* A. Świętochowskiego i zapoznawać się z techniką pracy, która miała stać się dla niego zawodową.

Urodzony w Kaliszu w r. 1857, tam skończył szkoły średnie, a następnie w Warszawie studia prawne na uniwersytecie. Odrazu wówczas już specjalizował się w kierunku ekonomicznym i, jako ekonomista, był autorem szeregu cennych i poważnych prac. Jak zwykle w doli publicystycznej rozrzucone są one po szeregu wydawnictw, znajdujemy je w *Ateneum*, w *Bibliotece Warszawskiej*, w *Ekonomiście*, wreszcie w *Encyklopedyi Handlowej* i w *Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej*. Niektóre z tych prac, jak „Pieniądze”, „Przesilenie pieniężne”, „Syndykaty przemysłowe” należą do najcenniejszych w naszej literaturze ekonomicznej.



Stanisław A. Kempner.

Równocześnie pracował jubilat, jako dziennikarz-publicysta. Z początku w *Gazecie Handlowej*, którą po tęściu swoim Władysławie Okręcie prowadził, a potem ją na *Gazetę Nową* przekształcił i nadał jej ogólniejszy, bardziej polityczny charakter, oraz bardziej urozmaico na treść.

Nie do nas należy ocena, względnie krytyka, działalności p. Stanisława Kempnera, jako redaktora politycznego i działacza politycznego doby ostatniej, zaznaczymy tylko, że zawsze cieszył się uznaniem swego stronnictwa.

Jeżeli dodamy, że, jako redaktor naczelny cieszył się zawsze serdeczną życzliwością współpracowników, że zdumiewał wszystkich i wszystkim mógł służyć za przykład niezmożonej istotnie pracowitości i energii—to sylwetka jubilata będzie zupełna. Niechże jeszcze długie lata z pożytkiem pracuje i niech złotych godów z publicystyką doczeka—takie są nasze życzenia jubileuszowe.

Dr. JAN RAUM.

Ćwierć wieku pracy lekarskiej, piętnaście lat pracy w szpitalu praskim obchodził w tych dniach jego lekarz naczelny, dr. Jan Raum. Wychowaniec IV gimnazjum warszawskiego, a następnie uniwersytetu w Berlinie, nie pozostał zagranicą, chociaż uśmiechała mu się tam karyera, zatęsknił do kraju i doktoryzował się w Dorpacie. Odtąd trwa na wyłomie chirurgicznym, wykonywując tysiące operacji w klinice prof. Kosińskiego, w szpitalu ewangelickim i w praskim, który zdołał postawić na równi z innymi, zaopatrując go z funduszków prywatnych w pracownię naukową.

Młody jeszcze duchem i ciałem jubilat, pełen życia i werwy, cieszy się przywiązaniem pa-



Dr. Jan Raum (X) w otoczeniu lekarzy delegatów.

cyentów, kolegów i podwładnych. To też uroczystość w d. 2 b. m. miała cechy wyjątkowej serdeczności. Do licznych życzeń dołączamy i nasze, aby jubilat mógł jeszcze jak najdłużej pracować dla dobra cierpiących.

PRZEGLĄD PRASY.

Z niezwykle bogatym numerem wystąpił zawsze czujny w rzeczach kultury narodowej *Kuryer Warszawski*, poświęcając go wyłącznie temu, którego stulecie przypada w roku bieżącym. Rozpoczyna się od „Inwokacji” Konopnickiej; potem mistrz prozy, Henryk Sienkiewicz, pisze o mistrzu poezji, o Słowackim-słońcu, Tad. Grabowski podaje fragmenty „ze studyów nad Słowackim”, „O lilii, róży i harfiarzach” pisze Eliza Orzeszkowa, na pytanie „Plastyk czy muzyk?” odpowiada Wiktor Gomulicki, że „plastyk przetworzył się na mnzyka”, czemu przytakuje Józef Weysenhoff w bardzo wykwinnym i subtelnym artykule „o muzyce wiersza Słowackiego”, „cud Słowackiego” charakteryzuje Zygmunt Wasilewski, „geniuszem narodowym przetwarzania mowy”, zwie go Bron. Chlebowski; Bronisław Gubrynowicz, Henryk Biegeleisen, Józef Kotarbiński, Ignacy Grabowski, Ignacy Chrzanowski, Henryk Galle, Kazimierz Bartoszewicz, Józef Kallenbach, Ferdynand Hoesick, Kazimierz Jarecki, Ignacy Baliński, Aleksander Kraushar, Kornel Makuszyński dorzucają każdy w zakresie specjalności swoich dane i szczegóły do poznania twórczości nieśmiertelnego poety. Słowacki był zarazem jedynym wielkim poetą-dramaturgiem polskim. I dlatego słusnie jest, że z jego imieniem wiąże *Kuryer* konkurs dramatyczny, który w tym roku ma być rozstrzygnięty. Oby duch wieszcza natchnął autorów, aby z konkursu tego wyszło istotnie dzieło dobre! Ale to już nie leży w zakresie woli redakcyi pisma, która mogła tylko uczcić w ten sposób *rok Słowackiego*.

Pod tym tytułem zamieszcza Zdzisław Dębicki głęboko odczuty artykuł w *Głosie Warszawskim*.

„Nigdy i nigdzie—czytamy tam—z wyjątkiem jednej Grecyi, poezya nie zespoliła się tak ściśle z życiem narodu, jak w Polsce. Nigdy i nigdzie nie wyrosła tak bezpośrednio, jak kwiat, z bólu, z łez, z krwi, z nadziei i dążeń narodu. Nigdy i nigdzie nie była w tym stopniu kierowniczką życia, źródłem, z którego dobywał się czyn twórczy, gwiazdą, za którą szły pokolenia.

Dlatego wyjątkowo doniosłą dla nas jest rocznica Słowackiego.

„Niewidzialna siła”, która została po nim, jest wśród nas i misję swoją spełnia.

I jeżeli rok, który idzie, *Rok Słowackiego*, będzie dla narodu tem, czem powinien być, obecność tej „siły” ujawni się niewątpliwie nie w obchodach uroczystych, nie w pomnikach postawionych, ale we wzroście naszych zasobów duchowych, w dalszych procesach naszych przebudowań wewnętrznych, w emanacyi sił twórczych, we wschodzącej runi bujnych posiewów przyszłości narodowej.“

Ze słuszną goryczą pisze o stanowisku Słowackiego w społeczeństwie p. Ignacy Grabowski w *Dniu*. Wszak znaleźli się — na szczęście nie podpisani, a więc nie pozbawieni wstydu — autorowie jakiejś odezwy, mianującej Słowackiego „trucicielem ducha polskiego” i odmawiającej królowi pieśni miejsca w grobach królewskich na Wawelu. Znajdujemy w artykule mocne napiętnowanie zakusów rodem z Ciemnogrodu, trafnie nazwanych „zbrodnią przeciwko ludzkości.”

Ruchliwy i żywo prowadzony najmłodszy z dzienników, *Dzień*, zamieszcza jeszcze rozmowę z Sienkiewiczem w sprawie projektowanej przez niego wszechsłowiańskiej wystawy sztuki w pięćsetletnią rocznicę bitwy pod Grunwaldem.

„Myśl wystawy—mówił znakomity pisarz— wyszła od dwóch artystów-malarzy krakowskich pp. Włodzimierza Tetmajera i Franciszka Siedleckiego. Ja ze swej strony obiecałem poruszyć sprawę w kole tych moich znajomych i przyjaciół, którzy mogą być pomocni projektowi, który nie wyszedł jeszcze ze stadium idealnego. Niema jeszcze komitetu organizacyjnego, nie myśleliśmy dotąd o podstawach materyalnych.“

Sienkiewicz robi powodzenie wystawy zależnym od stosunku do niej społeczeństwa, oczekuje więc na głos wyrazicielki jego opinii, prasy i wogóle spodziewa się, że projekt znajdzie przyjęcie przychylne.

„Należy tylko—zakończył—by za sprawą oświadczyło się społeczeństwo wyraźnie i to w jak najprędszym czasie. Wówczas można w Krakowie, w Warszawie, we Lwowie, w Poznaniu powołać do życia komitety organizacyjne i pomyśleć o funduszach. Przedewszystkiem już w najbliższych miesiącach musimy jasno wiedzieć, czy od społeczeństwa mamy mandat działania. A wówczas—mam nadzieję—praca pójdzie rzetelnie.“

Czy wystawa się uda, przesądzać trudno. Przeciwdziałania ze strony społeczeństwa naszego napotkać nie powinna. W dziedzinie sztuki łatwiej dać wyraz solidarności słowiańskiej, niż w polityce, gdzie na każdym kroku dzielą ludy słowiańskie sprzeczne interesy.

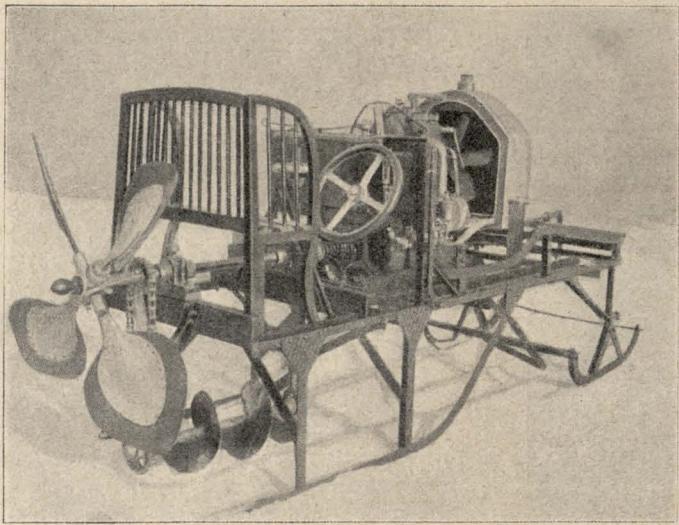
Ks. Stefan Denisewicz.

Mianowany świeżo biskupem *in partibus infidelium* J. E. ks. Stefan Denisewicz, magister Teologii, urodził się w 1839 r., a wyświęcony został na kapłana w 1863 r. Był proboszczem w Smoleńsku, gdzie zbudował z niemałym trudem piękny nowy gotycki



Ks. prałat STEFAN DENISEWICZ.

kościół, był też dziekanem w Mohylewie, a obecnie mieszka w Petersburgu. Jest prałatem kapituły Mohylewskiej, protonotaryuszem Apostolskim, od roku 1905 wikaryuszem kapitularnym, rządcą archidiecezyi Mohylewskiej i administratorem apostolskim dyecezyi Mińskiej.



SANKI SAMOCHODOWE.

Sanki samochodowe.

Inżynier angielski, Holzauer, zbudował—jak donosi *La Nature*—sanki samochodowe, które podczas prób przedsięwziętych przez wynalazcę, wykazały praktyczność zupełną. Przyrząd propulsyjny tych sanek składa się ze zwykłego motoru benzynowego, ustawionego tak samo, jak na samochodach kołowych, śruby powietrznej o 4 skrzydłach, umieszczonej z tyłu sani, i wreszcie śruby Archimeda u spodu sani, urządzonej tak, że w razie potrzeby dotyka ziemi. Motor dwucylindrowy, o sile 2½ koni parowych, pozwolił wynalazcy osiągnąć szybkość 55 kilometrów na równej drodze. Przy słabych spadkach wystarcza dla popychania sanek ruch śruby powietrznej, gdy jednak spadki są bardziej strome, śruba Archimeda, tnąc śnieg stwardniały lub powierzchnię gruntu, posuwa sanki naprzód, nie psując drogi, pozostawia bowiem za sobą ślad zaledwie widoczny. Każde z 4 skrzydeł śruby powietrznej składa się z 2 płyt aluminiowych, otoczonych wstęgą stalową, i posiada kształt łyżki, aby, jak się wyraża wynalazca, lepiej zagarniało powietrze. Dla nadania kierunku sankom służą łyżwy, umieszczone na ich przodzie, obracające się swobodnie w łożyskach z brązu, umieszczonych u szczytu dwóch sztab żelaznych, połączonych w kształcie głośki A. Łączący się z łyżwami za pomocą dźwigni, kierownik taki jak w samochodzie kołowym, pozwala mechanikowi obracać saniami dowolnie. Sanki, używane przez inżyniera Holzauera do prób szybkości, zbudowane były z żelaza kutego i lanego, wszystkie zaś łożyska części ruchomych odlano z brązu. Model jednak ostateczny, mający ukazać się w sprzedaży już w ciągu zimy nadchodzącej, zbudowany będzie wyłącznie ze stali, części zaś jego ruchome obracać się będą w łożyskach kulkowych, przez co waga sanek zmniejszy się do 200 kilogramów, a szybkość ich, jak przewiduje wynalazca, przekroczy rekord prób dotychczasowych.

B.

ZE SZTUKI.

Chcąc połączyć obraz twórczości malarzkiej terazniejszej z tradycjami przeszłości, Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych zamierza urządzać co roku wystawę jednego z artystów do-

by ubiegłej. Taka wystawa dzieł Simmlera odbyła się już w r. z., teraz Komitet za mierza urządzić wystawę Marcina Zaleskiego i za pośrednictwem pism prosi wszystkich, którzy posiadaliby jego obrazy, o wypożyczenie ich na kilkotygodniowy okres

czasu oraz o zawiadomienie zawczasu Komitetu, jakie dzieła Zaleskiego posiadają i w jakiej ilości. Przytem Komitet gwarantuje zwrot w całości dzieł, jego opiece powierzonych. Zamiary Komitetu są dobre i należy się im poparcie. Wystawy retrospektywne, poza wartością historyczną, dają jeszcze możliwość skatalogowania dzieł danego artysty, dotychczas rozproszonych, z oznaczeniem dat, wymiarów, właścicieli i t. d., co jest rzeczą niezmiernie ważną. Dlatego właściciele obrazów winni poprzeć usiłowania Komitetu Zachęty. Od nowego roku powstała w Warszawie nowa szkoła rysunkowa dla kobiet p. Antoniego Piotrowskiego. Głównym jej celem jest nauka systematyczna poprawnego rysunku; oprócz tego będzie odbywał się w szkole trzymiesięczny kurs kompozycji malarzkiej z perspektywą dla zajmujących się już malarstwem.

Z pod pióra.

WŁADYSŁAW REYMONT.

Nowy tytuł, nowa rubryka. Co zawierać będzie, w jakim celu powstała? Przed ciekawym okiem naszych czytelników będziemy uchylali rąbek zasłony, okrywającej twórczość naszych najwybitniejszych pisarzy, przenikniemy do tajemniczych pracowni ducha, gdzie rodzą się wielkie dzieła sztuki.

Wędrowkę naszą po tych pracowniach twórczości polskiej rozpoczęliśmy od autora dopiero co ukończonych „Chłopów”, Władysława Reymonta.

Znakomity powieściopisarz udziela nam wyjaśnień chętnie i prosto, bez wszelkiej pozy nieprzystępnej wielkości. Nie czuje się bynajmniej znużonym, ani wyczerpanym po zamknięciu „Chłopów”, tej kwadrylogii ludu polskiego, nad którą sześć lat, z pewnemi przerwami, pracował.

— Prócz kilku mniejszych rozmiarami nowel i obrazków, pracuję obecnie nad większym utworem powieściowym. Tytuł „I po dniach wielu”. Treść—dzieje małżeństwa, dwu serc, dwojga ludzi, którzy kochają się nawzajem szczerze i gorąco, a mimo to—nie są w pożyciu wspólnym szczęśliwi. Dlaczego? Bo są zbyt indywidualni, takie dwie rogate dusze: on z niższej sfery, wytrwała pracą zdobywający sobie stanowisko życiowe, ona arystokratka, o subtelnej kulturze umysłowej. Tło—Warszawa, jej życie, jej burżuazja. Pierwszy raz podejmuję ten przedmiot, i to mnie właśnie podnieca.

— A poza tem?

— Poza tem?—tu ożywia się niezmiernie to marzenie mego życia. Trylogia historyczna, trzy okresy, trzy pokolenia. Tytuł krótki: „1799—1831—1863”. Dzieje budzenia się i uświadamiania duszy polskiej, która z kultury szlacheckiej bierze wszystko, co w niej najszlachetniejsze, i niesie w darze ludowi, co przyszłość naszą kryje w swem chmurnem łonie. Oto są moje zamiary najbliższe.

— A do sfery ludowej nie ma pan zamiaru powrócić?

— Narazie nie. Przedewszystkiem zbieram materiały do trylogii. O dalszej przyszłości jeszcze nie myślę.

GAMMA.

Z doli kobiety-prawnika.

Uniwersytet paryski notuje już w księgach swoich kilka wychowanek-prawniczek, które w następstwie zostały adwokatkami. W liczbie tych wychowanek była także młoda Polka, p. Janina Podgórska, która po ukończeniu Sorbony z wielkim powodzeniem zdała państwowe egzaminy prawnicze w Moskwie.

Ale tu zaraz położono kres dalszej jej karye-



Janina Podgórska.

rze. Rada adwokatów przysięgłych nie przyjęła jej w poczet obrońców uciśnionej niewinności.

Nie znamy motywów decyzji, trudno więc o niej wyrokować. Ale uderza sprzeczność pomiędzy państwem, które na uzyskanie przywileju zezwala, a korporacją, która udaremnia korzystanie z przywileju. Czyż nie szkoda straconej pracy egzaminacyjnej, usiłowań, które poszły na marne?

Włościanka-filantropka.

W ostatniej dobie coraz częściej zdarzają się fakty, świadczące o znacznym uspołecznieniu naszego ludu. Świeżo właśnie mamy do zanotowania objaw głębokiego zrozumienia potrzeb kulturalnych, a zarazem wysokiej filantropii u włościanki wsi Prusy (powiat lwowski) Julii Bobrowej. Biedna włościanka, widząc, że istniejące w jej wsi Stowarzyszenia (Czytelnia T. S. L., Kasa Reiffeisena, Straż ogniowa, Związek chórów



Julia Bobrowa z Prus pod Lwowem.

i teatrów włościańskich) nie mają się gdzie pomieścić, a w skutek tego działalność ich nie może odpowiednio się rozwinąć, ofiarowała pod budowę „Polskiego domu ludowego” grunt swój, we wsi położony, wartości 2,000 koron. Fakt ten więcej znamienny, że czyn to zupełnie dobrowolny, bez niczyjej namowy spełniony, i to, że zapis stanowił całkowity majątek ofiarodawczyni.

Zapis przyjęło Dublańskie Koło T. S. L. i zajęło się energicznie przeprowadzeniem sprawy. W tym celu zawiązało się Komitet, który gromadzi środki materialne, a liczne datki pozwolą, zdaje się, z wiosną przystąpić do budowy „Polskiego domu ludowego”.

ZMARLI.

WILHELM WIERZBOWSKI. Zmarł jeszcze jeden z epigonów epoki ostatniego powstania... Pochodził z Mińszczyzny; ujrzał światło dzienne w majątku Starym Siole, w r. 1827. Za uczestniczenie w ruchu 1863 r. majątek mu skonfiskowano,

a sam zesłany był do gub. permskiej, do Narowczatu. Po powrocie, osiadł w Warszawie. W r. 1869 wszedł do administracji *Kuryera Warszawskiego*, gdzie do końca życia blisko czterdzieści lat pracował. Zrósł się z losami pisma i znany był licznym kołom współpracowników jego, jako dobroduszy, miły, zacny kasycr. Cieszył się ogólną



Wilhelm Wierzbowski.

nią sympatią i szacunkiem. Zgasił cicho, prawie bez cierpień, skutkiem wieku podeszłego i rozwiniętej sklerozy. Wiele osób odprowadziło go na miejsce wiecznego spoczynku, świadcząc, że drogą była im pamięć zacnego człowieka.

Ks. JÓZEF JOHN, komisarz wojenny powstała na roku 63 i długoletni zesłaniec polityczny do oddalonych gubernii cesarstwa. Po 8-letniej pracy przy kolegiacie łowickiej objął wraz z tytułem proboszcza zarząd parafii Lewiczyn, gdzie zaskoczyły go wypadki roku 63, które pozbawiły go stanowiska i spowodowały wyrok, skazujący na przymu-



Ks. Józef John.

sowe przebywanie w graniczących z Azyą stepach zawołańskich. Starania życzliwych osób wydobły go dopiero po 18 latach. Osiadł w Krakowie, gdzie zmarł, doczekawszy się sędziwej starości, szczerze i serdecznie opłakiwany przez rodzinę i liczne grono przyjaciół.

NEKROLOGIA.

W dniu 18 (5) grudnia 1903 r., w rodzinnych dobrach Seroczy, pow. Nowogródzki, gub. Mińska, zmarła po długoletniej sercowej chorobie ś.p. Anna z Poklewskich Kozieli, generałowa Riesen-kampfowa. Urodzona z rodziców, których pamięć niezatartą wdzięcznością tkwi w sercach wygnan-



ANNA Z POKLEWSKICH KOZIELI, JENERAŁOWA RIESENKAMPFOWA.

ców sybirskich, wyniosła z domu tradycje, którym wierną pozostała całe życie, przekazując je następnemu pokoleniu. Dobra, rozumna i ujmująca łagodna i słodka, tak w otoczeniu swoim rodzinnym, jak w szerokiej kołach towarzyskich, zostawiła po sobie głęboki żal i wdzięczne wspomnienie. Mimo ciężkich cierpień brała żywy udział we wszystkich sprawach społecznych i hojną, a zawsze otwartą dłoń wspierała ludzi pracy i nauki, oraz wszelkie instytucje dobroczynne. Osierociła męża, oraz córkę i dwóch synów.

Niech jej lekka będzie ziemia, którą tak gorąco ukochała.

ALEXANDER KRAUSHAR:

Nieznana kartka z życia Narcyzy Żmichowskiej.

(1844—1850).

Zmarła przed kilkoma laty jedna z uczestniczek grona „entuzjastek”, o którym Chmielowski w *Autorkach polskich wieku XIX* ciekawego czasu podał wspomnienia, Paulina Zbyszewska powierzyła była przed zgonem zaufanym dłoniom zwitek dokumentów, zawierających wyniki śledztwa politycznego, przeprowadzonego w roku 1850 w sprawie jej własnej i Narcyzy Żmichowskiej, obwinionych o udział w ruchu ludowo-demokratycznym, zapoczątkowanym w owych czasach przez księdza Sciegiennego. Ruch ów, skojarzony z ogólnym prądem „wolnościowym” europejskim i niektórych dzielnic polskich, wysunął między innymi w W. Księstwie Poznańskim, jako przodowników, przedstawicieli umysłowości, rozgłośne w literaturze swojskiej nazwiska.

Gdy po zgonie Narcyzy Żmichowskiej (25 grudnia 1876 r.) w publicystyce okazało się kilka obszerniejszych o zmarłej wspomnień, osnutych na osobistym udziale w owym ruchu entuzjastek warszawskich—warunki cenzuralne ówczesne nie pozwoliły dotknąć znamienego epizodu z dziejów ruchu emancypacyjnego ujawnionego u nas w połowie minionego stulecia i pozostawiły w biografii Żmichowskiej lukę, dotychczas jeszcze przez nikogo nie wypełnioną.

Zadaniem niniejszego szkicu jest dorzucenie do skarbicy faktów, wyjaśniających dzieje żywota jednego z najpotężniejszych umysłów, nie tylko niewieścich, nowożytnego społeczeństwa naszego, kilku szczegółów mniej znanych na podstawie papierów, przekazanych potomności przez Paulinę Zbyszewską, rówieśniczkę i towarzyszkę jednej ze smutniejszych chwil życia Gabryelli.

Przyczynę ów może przyszłym historykom okazać usługę, ile że wyjaśnia pośrednio łączność sprawy księdza Sciegiennego z ruchem emancypacyjnym umysłowym „entuzjastek”, o którym w listach Narcyzy Żmichowskiej do przyjaciół, ogłoszonych przed kilkunastu laty w dwutomowym wydaniu krakowskim, wyjaśnień żadnych nie podano.

Cenne dokumenta, o których tu mowa, stanowią wynik korespondencji sekretnej między b. Namiestnikiem Królestwa, księciem Paskiewiczem, a b. marszałkiem szlachty lubelskiej, Janem hr. Jezierskim, z roku 1850, z czasów, gdy Narcyza Żmichowska i Paulina Zbyszewska, podejrzane o udział w ówczesnym ruchu ludowo-demokratycznym polskim, pozostawały w więzieniu w klasztorze karmelitek w Lublinie.

Wtedy to marszałek szlachty lubelskiej, Jan hr. Jezierski, zwrócił się był do namiestnika Paskiewicza z prośbą o ulżenie doli uwięzionych, na co w odpowiedzi otrzymał szorstką admonicję, by się do tej sprawy nie mieszał. W uzasadnieniu zaś odmowy polecił hr. Paskiewicz przestać hr. Jezierskiemu całkowity wynik śledztwa, przeciw Żmichowskiej i Zbyszewskiej przeprowadzonego. Zbyszewska, pozyskawszy po swem uwolnieniu z więzienia od hr. Jezierskiego całkowity materiał śledczy, uchroniła go szczęśliwie od zagłady i, jak wyjaśniono, dopiero przed zgonem powierzyła go zaufanym dłoniom do spożytkowania.

Według osnowy śledztwa sprawa z roku 1850 miała przebieg następujący:

W czasie wypadków, zaszłych na początku roku 1846 w W. Księstwie Poznańskim, władze Królestwa otrzymały wiadomość, że Paulina Zbyszewska, córka obywatela z lubelskiego, przybywszy z zagranicy do Poznania, wygłaszała zasady demokratyczne i s. symonistyczne, tak jaskrawe, że władze pruskie odstawiły ją do granicy Księstwa. Nad czynnościami Zbyszewskiej rozciągnięto czujny nadzór, lecz dopiero w roku 1848, gdy w Królestwie zaczęło się ujawniać wrzenie, przejęto u jednego z obywateli korespondencję, świadczącą o stosunkach Zbyszewskiej z Libeltem,



NARCYZA ŻMICHOWSKA.

w sprawie reformy wychowania kobiet polskich.

Między papierami znaleziono listy Zbyszewskiej, pisane z Landeck do Żmichowskiej, gdzie mieścił się ustęp następującej osnowy:

„Oto, siostrzo moja, powiadam ci, że Seweryn M. jest prawdziwie demokratycznym człowiekiem”. Badana w komisji śledczej Zbyszewska wyjaśniła, że orzeczenie to oznaczało, iż ów Seweryn Mielżyński łagodnie obchodził się z domownikami.

W innym liście pisała Zbyszewska z wyrzuceniem żalu, iż nie mogła się wzbić w przeczyste przestworza myśli Żmichowskiej. „Dziś zaś, nadmienila, chciałabym poświęceniem zaśpiewać hymn Bogu i Ojczyźnie”.

Miało to oznaczać życzenie „aby wszyscy ludzie żyli na chwałę Bożą i dla wspólnego swego szczęścia. Szczęście to, zdaniem jej, polega na nieograniczonym miłosierdziu z jednej, a wdzięczności—z drugiej strony”.

17 sierpnia 1848 r. pisała Zbyszewska do Żmichowskiej, bawiącej podówczas w Poznaniu: „Kochana siostrzo! Proszę cię, w imię naszego szczęścia, byś się widziała z Libeltem i po wyraźnym jego oświadczeniu, że znajduje cię zdolną do objęcia kierownictwa i w skutek prośby jego, byś się tej sprawie poświęcić chciała, namyśl się dopiero, czy masz sama, czy wspólnie z inną towarzyszką, kształcić przyszłe nasze pokolenie”.

Badana co do znaczenia owego ustępu Zbyszewska oświadczyła, że raz jeden tylko widziała się z Libeltem u panny Szanieckiej i że, dowiedziawszy się od Żmichowskiej, iż Liebelt zaproponował jej stanowisko przełożonej polskiego zakładu wychowania panien, zaprojektowanego przez obywateli W. Księstwa Poznańskiego drogą składkową, uprosiła Żmichowską, by bez porady uczonego Libelta niczego nie podejmowała, że o politycznych za-

sadach Libelta dowiedziała się badana dopiero później z gazet i z procesu wytoczonego Polakom w Prusach.

Następnie, gdy komisya okazała jej list własnoręczny do Żmichowskiej, w którym pisała: „Chłędowska żądała od Seweryna, by odciągnął Edwarda Dembowskiego od wicherzycieli politycznych: Libelta, Marcinkowskiego i Moraczewskiego”, Zbyszewska oświadczyła, że było to właściwie zdanie Chłędowskiej, którego znaczenia dokładnie nie rozumiała.

Natomiast Żmichowska w śledztwie zeznała, iż znajomi jej i krewni, pragnąc wyjednać dla niej miejsce przełożonej projektowanego zakładu wychowawczego, udali się w tej mierze do Libelta, który jednak był zdania, że Żmichowska, jako poetka, nie powinna się wyłącznie poświęcać edukacji dzieci. Innego był przekonania emigrant Dobrzycki, b. major wojska polskiego, lecz Żmichowska proponowanej sobie posady nie przyjęła.

W liście Zbyszewskiej do Kornelii Glogerowej, w Dobroborach w Augustowskim zamieszkałej, siostry Żmichowskiej, mowa o planie wychowania panien, w zakładzie przez tę ostatnią założonym.

Plan ów, zdaniem Żmichowskiej, był następnie zaniechanym.

W innych listach Zbyszewskiej do Żmichowskiej był ustęp: „Wincenty (Turno) ganił twoje opinie polityczne i pisma demokratyczne”.

Wyjaśniła Zbyszewska w śledztwie znaczenie owego ustępu w ten sposób, iż gdy Turno był zdania, że byłoby to szczęściem dla W. Księstwa, gdyby ono oddzielone było od Prus i miało własne swoje ustawy; Żmichowska natomiast twierdziła, iż większa korzyść spłynęłaby na W. Księstwo przez zupełne jego wcielenie do Prus i nadanie mu jednako- wych z innymi prowincjami pruskiemi prerogatyw. Tę to opinię Żmichowskiej miał jakoby zganić Turno. Co do pism Żmichowskiej, Turno dlatego mienił je demokratycznymi, iż autorka, jako bohaterów powieści, wybiera ludzi, z niższej klasy pochodzących, i przypisuje im nieprawdopodobne zalety.

Wyjaśniła Żmichowska, iż Turno nie lubił jej, gdyż zdawała mu się być niedosyć nabożną, i dlatego dzieła jej, wydane w Warszawie i w Poznaniu, nazywał demokratycznymi. Prawdą zaś jest, iż w rozmowach wyrażała zdanie, iż prawa ostatnimi czasy nadane W. Księstwu Poznańskiemu uważa za korzystniejsze dla ogółu mieszkańców, aniżeli te, które wychwalał Turno, jako zabytki przeszłości.

Po powrocie z zagranicy pisała Zbyszewska do Żmichowskiej w Poznaniu:

„Z teraźniejszych wypadków przekonałam się, iż konieczności nie należy ogłaszać za cel”.

W innym liście twierdziła: „iż Sciegienny więziony jest w kazamatach. Okropne zadają mu męki, a doznaje tego nieszczęścia z powodu wystawienia konieczności—za cel”. Sprawę Sciegiennego opisuje dalej w taki sposób:

„Chłopi zwykle gromadnie schodzili się do lasu. Tam Sciegienny przemawiał do nich. Chłopi słuchali i brali do serca jego słowa. Razu jednego Sciegienny mniej mówił o wyzwoleniu, lecz poruszył jedynie obszar korzyści materialnych, poczem szlachtę obrzucił wymysłami, wołając: „Na pohybel z nimi!” Wtedy jeden z chłopów wystąpił i rzekł: „Złemu—złe, ale dobremu—sława i miłość. Toć ja widziałem, jak syn mego pana był przy mnie w boju. Kiedy on tak gada, toć bluźni, a toć tylu panów za nas, Bóg wie gdzie potaszczyli”.

(DN)



Skupili się przy bufecie...

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

2)

Zastrzega się prawo przedruku.

Wykład został przerwany przez wtargnięcie do sali czterech młodych mężczyzn, noszących się oryginalnie, w długich surdutach i w czapkach. Rej między nimi wodził ksiądz, młody i okazały, odmienny od towarzystwa tylko brakiem wąsów i rozpiętą od góry do dołu sutanną. Skupili się przy bufecie przed szeregiem kieliszków, nalanych prostą wódką, i ujęli każdy za swój z tą namaszczonej powagą, która cechuje pijącego chłopca.

— Ant swejkatu, brolis!

— Swejkas! *)

Dźwięki dalszej rozmowy, z wielką obfitością końcówek na as, is i os, przypomniły panu Apolinaremu zamierzchną jego, gimnazjalną grekę.

— A to co, dobrodzieju mój, Grecy jacyś?

— Ten znowu paradny!—śmiał się Pasterkowski coraz bardziej pijany—Litwini przecie! bracia Litwomani, niech ich drzwi ścisną!

Ktoś ze stojących przy bufecie musiał coś posłyszeć, bo parę ponurych spojrzeń strzeliło stamtąd ku stołowi, gdzie siedzieli nasi biesiadnicy. Zwłaszcza młody ksiądz wychylił w stronę Pasterkowskiego twarz okrągłą z okrągłymi oczyma, która wśród zwichrzonych kudłów patrzyła, jak głowa ryśia, zebranego w sobie do skoku.

*) — Na zdrowie, bracie!

— Zdrow (bądź)!

Fedkowicz zażądał rachunku i zaczął pośpiesznie płacić. Pasterkowski protestował, że należy się jeszcze od niego butelka „rewanżowa”. Budzisz skłaniał się też ku wyjściu, chociaż go nęciło nowe zupełnie widowisko „unarodowionych” Litwinów.

Ci zaś zajęli teraz miejsca przy stole bliższym i nie przestawali rozprawiać między sobą po litewsku.

— Śpiewny język—rzekł pan Apolinary.

— A niczego sobie—zgadzał się Fedkowicz.

Ale Pasterkowski coraz bardziej wojowniczą przybierał postawę, co niepokoiło głównie towarzyszków z jego, nie zaś z przeciwnego obozu.

Tymczasem okazało się, że służący w restauracji nie rozumiał po litewsku, gdyż na różne żądania, wyrażone w tym języku, odpowiadał tylko miną usłużną i bezradną. Wtedy ksiądz odezwał się do służącego:

— Gawariat wam, dajcie kartu win.

Tu pan Apolinary dał stanowcze hasło opuszczenia restauracji.

Gdy już byli na powietrzu, Budzisz przystanął w pozie oratorskiej, pragnąc swe uwagi zakomunikować garście Polaków. Powiódł oczyma po audytorium. Ale powiew wieczorny zdjął oburzenie z rumianej twarzy Pasterkowskiego i rozmarzył chude, przemysłne oblicze Fedkowicza. Pan Tytus, pozbywszy się nagle troski o sprawy publiczne, zapragnął lżej-

szych zadowoleń i namawiał na przechadzkę do zakładu Szumana, gdzie obecnie roją się pod drzewami miejscowe i zagraniczne piękności, zanim nastąpi przedstawienie wieczorne. Dodawał, że zna niejedną „bestyjkę”. Fedkowicz, niewinnie i dyskretnie, podzielał zdanie Pasterkowskiego. Ale Budzisz, choć z natury ciekawy studyów obyczajowych, dzisiaj stanowczo odmówił: żywił w sercu, oprócz powagi swej tajemniczej misji, nieufność do towarzyszków. Demokratycznej solidarności nie należy posuwać aż do pospolitowania się. Te pobudki sprawiły, że pan Apolinary samotny powrócił do swego pokoju w hotelu.

Tutaj, reasumując pierwsze swe wrażenia z Litwy, doszedł do pewnego niesmaku.

— Miasto po wierzchu „niczego sobie”, jak ten mówi, dobrodzieju mój. Pierwszy Litwin, którego spotkałem, także „niczego”. Ćwik dość gładki. Tylko nie nas z Korony brać na len strzelniczy i na prasę bez tłoku! Takich to my mamy lepszych pod Kaliszem... A już ta kompania Litwinów—horrendum! Ciekawym, czy gęsto takie kupy chodzą po kraju?

Spojrzał przez okno na ulice z niejaką obawą. Ale właściwie chciał się tylko przekonać, czy sklepy jeszcze otwarte. Gdy stwierdził, że otwarte, że nawet ruch się wzmacza przy zapalonych latarniach, wyszedł powtórnie na miasto, ażeby, skoro do ludzi

nie miał szczęścia, odnaleźć innych przyjaciół w gazetach i broszurach miejscowych. Szedł więc przez ulicę Wielką do księgarni Zawadzkiego.

Po drodze lustrował sklepy, niezbyt wystawne, jednak zasobne i rozmaite. Na progach niektórych, starożytnym wschodnim obyczajem, kupcy zapraszali do wnętrza. Byli to Żydzi, mówiący po rosyjsku. Po przypatrzeniu się jednak Budziszowi odzywali się zaraz po polsku, a nawet z tytułem „jaśnie panie”.

— Nie mógłbym tu zachować swego incognito—myślał pan Apolinary.

Szedł dalej wolno, nie ulegając zaproszeniom, ale baczny czyniąc przegląd domów i twarzy przechodniów, łowiąc w uszy ułamki rozmów. Zwązająca się coraz ulica prowadziła stopniowo do serca miasta, do jego osobliwości poufniejszych. Domy nierównego typu i wieku, kamieniczki przypadkowym gustem stawiane i ozdobione, obok wysokich, wszechuropejskich pudeł mieszkalnych; gdzieś niegdzie mur kościelny lub klasztorny przerywa ciągłość zabudowań, łamie linię ulicy; to znów zaułek wpada w jakieś zagłębienie mroczne, ni to podwórze, ni to przejście, publiczne, gdzie światło jednej mętnej latarni połyska tajemniczo na murach ślepych, barwionych starożytną pleśnią, na bruku gruboziarnistym, ubitym żywiołowo przez stopy ludzkie i koła wozów.

Budzisz to wszystko znał, choć nie pamiętał ani planu miasta, ani twarzy murów; wszystko było pokrewne z jego rodzinnymi wspomnieniami. Tu, gdzie pstrokate pospólstwo kamienic, zwarte do szeregu, okazuje mizerne bogactwa sklepów i blade oczy okien, niby boczna ulica Warszawy. Tam, gdzie mur poważniejszy duma o przeszłości, niby Kraków, Lublin...

I zapachy zwykłe, przyrodzone poznawał pan Apolinary, rozróżniając lepsze wonie sklepów piekarskich, owocowych, winnych, korzennych, bławatnych od zaduchu ścieków i zagnieżdżonych brudów żydowskich.

— Jakto u nas—parskał nosem pan Apolinary głośno, jednak z rezygnacją.

Tylko maleńkie, do jazdy wygodnej wcale nie przydatne „drożki” petersburskiego modelu nie zyskały uznania Budzisz, ani dziki ubiór woźniców, ani ich wołania: „Bieregiś!”.

Ale z ust parzystych przechodniów płynęła najczęściej prastara mowa rodzinna, przejęta jakąś melodyjną lubością, osobliwa, lecz szlachetna. Mieszkaniec tutejszy nie pchał się naprzód po chodniku, odęty swą godnością, szedł skromnie, ustępując z drogi kobietom i starcom, niósł w całej swej postaci świadectwo natury, zamkniętej w sobie, delikatnej i wrażliwej. Pan Apolinary, instynktowo poznawszy, że ani imponuje tłumowi, ani go zbyt zaciekawia, przyćmił też zwykłą, wymagającą hołdu okazałość swej postaci, wymijał spotykanych krajowców uprzejmie, z przychylnym półuśmiechem.

W tem usposobieniu wszedł do księgarni Zawadzkiego, gdzie go ogarnęła odrazu gościnna, intelektualna atmosfera najstarszej z istniejących polskich firm wydawniczych.

II.

— Trzeba tu, panie Apolinary, zrobić porządek. Liczymy na pana.

Pasterkowski nie opuszczał prawie gościa z Korony, podsuwał mu coraz to nowe pisma i osoby do pożarcia. Ale Budzisz nie dobywał jeszcze miecza z pochwy i z niezwykłą wstrzeźliwością odpowiadał na zachęty Pasterkowskiego.

— Nie, panie Tytusie. Interwiewu ze mną nie będziesz drukował, artykułu wam też nie dam teraz w kwestyi litewskiej. Niedostatecznie jeszcze ją poznałem.

— Co tu poznawać? Dość przeczytać „Głos Litwinów do młodej generacji!”

— Czytałem i różne inne. Co do języka niech go sobie uprawiają. To każdemu wolno.

— A niech tam. Ależ oni nam na karci wsiadają, panie Apolinary! Żeby im wierzyć, to cała nasza pięciowiekowa kultura za nic tu była, trzeba odkopać ich pogańską kulturę z XIV-go wieku.

— Mogą sobie kopać, panie Tytusie. Nic nie znajdą prócz stęchlizny.

— To i ja wiem. Tylko, że oni nie poprzestają na kopaniu, chcą burzyć wszystko, co im zawadza. Ten mówi, że Mickiewicz nie był Polakiem, tylko Litwinem, tamten już i Mickiewicza się wypiera za to, że pisał po polsku. Toż dudkom chyba prawić takie herezye! A co im się da odprawę, oni wciąż swoje. Masz pan tu nową broszurę.

— Litwin uparty, panie Tytusie, gdy raz w co polezie...

— Ale w co lezie?!

— No, oczywiście... „Bajki”, jak oni mówią, damy sobie z nimi radę.

Wobec Pasterkowskiego Budzisz nadrabiał miną; gdy jednak sam pozostawał, popadał w przykrą zadumę. Czuł w sobie powołanie do walki z „Litwomianami”, ale nie wiedział, jak się wziąć do nich, zwłaszcza, że ich nie spotykał. Okazało się nawet, że kompania, oglądana w restauracji, składała się z osób przyjezdnych. W Wilnie gnieździło się podobno kilku przewodców nowego ruchu, ale trudno było do nich pójść i wyzwąć ich po kolei na patryotyczny pojedynek; trudno też i porozumieć się, bo drukowali przeważnie po litewsku i na zebraniach swych używali tego języka. Pozostawała panu Apolinaremu zabawa z bibułą, drukowaną po polsku, którą tymczasem łykał ze wstrętem, z powodu formy i treści.

— Zdaje mi się, że oni umyślnie tak obrzydliwie piszą po polsku, aby zohydzić nasz język — o! — stuknął się w czoło pan Apolinary.

Rzeczywiście niektóre broszury i artykuły, pisane zaledwie dla Polaka zrozumiały polszczyzną, mogły być posądzone o taki zamiar podstępny.

I w treści mnóstwo napotykał niespodzianek. Projekty w rodzaju tego, aby napisy na Ostrejbramie dawać nie po polsku, lecz po litewsku, podawali autorowie o nazwiskach czysto polskich, po których spodziewałby się można innych zgoła tradycy i działań.

— Wieża Babel, dobrodzieju mój!...

Łaknął powiadomień i objaśnień, więc przedewszystkiem spotkania z Eustachym Chmarą. Potrzebował też innych adjutantów, niż Pasterkowski — i tu poradził sobie niezgorzej. Pamiętał, że syn pana Jana Rokszyckiego, Kazimierz, wybiera się na Litwę dla studyowania Inu. Wysłał depeszę, donoszącą Rokrzyckiemu o spotkaniu specjalisty od Inu, Fedkowicza, i otrzymał odpowiedź, że Kazimierz przyjedzie niebawem do Wilna. Młody to człowiek, nie polityk, ale głowa dobra; no i różniej będzie w zupełnie swoim towarzystwie.

Tymczasem zaś gotował się do akcji, umyślił bowiem położyć tamę zalewowi litwomianii za pomocą odczytu, który wygłosi o unii Litwy z Polską. Regularnego odczytu nigdy jeszcze nie próbował, ale porwać wymową salę, ba nawet tłumy, było mu nie pierwszymą.

(DCN)

ARTUR CONAN DOYLE:

SREBRNE ZWIERCIADŁO.

Zaczynamy w numerze dzisiejszym najnowszą nowelę głośnego pisarza Conan Doyle'a. Nie spotkają w niej czytelnicy, i to jest jej rys oryginalny, zbanalizowanego już Sherlocka Holmesa, jakkolwiek treścią noweli jest fantastyczna tajemnica, bez rozwiązania. Tajemnica, czytelnikom polskim nie obca, przypominająca bowiem „zwierciadlaną zagadkę” Deotymy. A obraz główny noweli, to jakby scena z „Maryi Stuart” Słowackiego. Takie węzły analogii łączą ostatnią nowelę Conan Doyle'a z literaturą polską. *Przyp. red.*

Dnia 3 stycznia. Jak się okazuje, sprawa skontrolowania ksiąg firmy White i Wotherspuon stanowi ołbrzymie. Mam przejrzeć pozycję za pozycją dwadzieścia grubych tomów! Pierwsza to jednak sprawa poważna, powierzona mi do opracowania samodzielnego. Muszę dać dowód, że zasłużyłem na zaufanie. Ale trzeba się spieszyć, prawnicy bowiem żądają wyników pracy mojej przed rozpoczęciem procesu. Johnson oświadczył mi dzisiaj zrana, że wszystko musi być gotowe przed dniem 20 b. m. Aż strach pomyśleć! Nie mniej, jeżeli mózg ludzki i nerwy są w stanie wytrzymać wysiłek taki, to zwyciężą. Według obliczeń moich, będę musiał pracować od 10-tej zrana do 5-tej po południu, a następnie od 8-mej do 1-ej w nocy, aby dokonać dzieła...

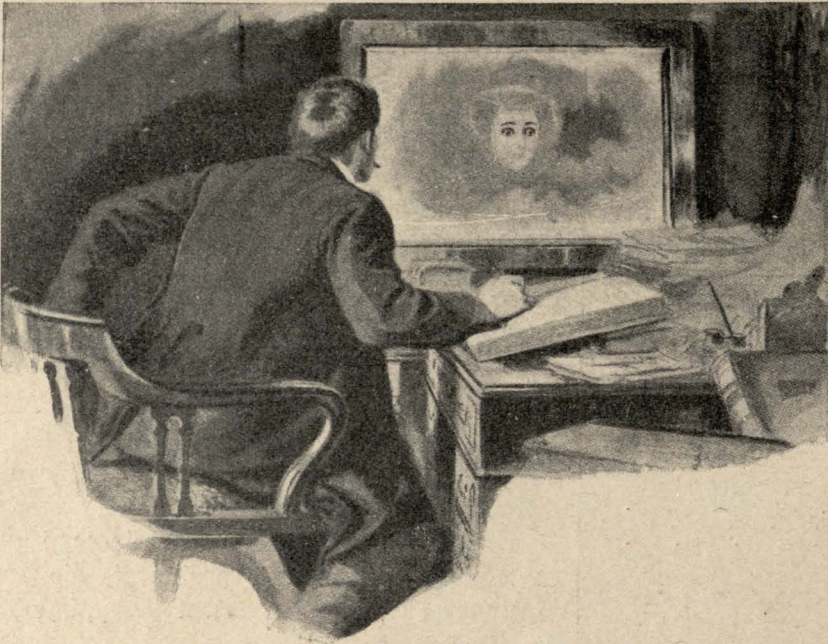
Bądź co bądź istnieją dramaty w życiu rachmistrza! Gdy siedzę wśród ciszy nocnej nad księgami, wertując kolumna za kolumną liczby, które mają wykazać, że szanowany powszechnie członek rady miejskiej to zwykły oszust, odczuwam, iż buchalteria nie jest znów fachem tak bardzo prozaicznym.

W poniedziałek natrafiłem na pierwsze ślady sprzeniewierzeń i doprawdy, żaden myśliwy nie drgnął tak na widok tropu pożądanego, jak ja w chwili owej. Lecz spojrzawszy na dwadzieścia grubych tomów ochłodłem odrazu, pomyślałem bowiem, przez jaką to gęstwinę przedrzeć się jeszcze muszę, zanim położę trupem zwierzyne moją.

Ciężka praca, ale też sport nie lada. Widziałem raz tego grubego jegomościa podczas obiadu w ratuszu. Twarz jego czerwona połyskiwała nad serwetą białą. Spojrzał na mnie, drobnego, bladego człowieka u szarego końca stołu. I on pobladłby, gdyby dowiedział się, jaką mi pracę powierzono.

Dnia 6 stycznia. Co to za głupstwo ze strony lekarza przepisywać komu spokój, gdy o spokoju nie może być mowy. Osy! Mogliby również dobrze wołać na człowieka, gonionego przez stado wilków, że potrzebuje koniecznie odpoczynku absolutnego.

Moje liczby muszą być gotowe w pewnym terminie. Jeżeli zaś nie będą gotowe, to stracą



Nagle spostrzegłem, wzdrzygnąwszy się [bardziej] ze zdziwienia, niż ze strachu, że była to para oczu, spoglądających na pokój.

pierwszą w życiu szansę dojścia do stanowiska. Jakże więc mam odpoczywać? Odpocznę sobie z tydzień po ukończeniu pracy.

Może jednak ja to właśnie jestem osłem, żem wogóle poszedł do lekarza. Ale cóż robić, skoro, siedząc samotny wśród nocy nad księgami, czuję takie zdenerwowanie. Pomyślałem więc: brom, chloral lub inny środek w tym rodzaju będzie może skuteczny. Lecz przerwać pracę?—Nigdy! Absurdem jest poprostu żądać tego ode mnie. Bo praca, to jak wyścig na wielki dystans. Z początku człowiek czuje się dziwnie. Serce uderza szybko i płuca dyszą mocno, jeżeli jednak posiada dosyć energii, aby wytrwać, wówczas następuje pod pewnym względem uspokojenie. Nie oderwę się od pracy i czekać będę na to uspokojenie. Jeżeli zaś nie nastąpi i bez niego wytrwam. Sprawdziłem już dwie książki i zagłębiłem się dobrze w trzeciej. Łotr zręcznie pościerał ślady. Nie mniej ujawnię wszystko.

Dnia 9 stycznia. Postanowiłem, by nie udawać się już do lekarza, a jednak poszedłem. „Nadwyrężam nawy, narażam się na zupełne wyczerpanie sił, a nawet na obłąkanie”. Oto wyrok, który usłyszałem z miejsca. Trudna rada, muszę wytrwać, pomimo wszystko, na co się narażam. Dopóki mogę usiedzieć na krześle i utrzymać pióro w palcach, dopóty śledzić będę za tropem starego grzesznika.

Przy sposobności niechaj mi będzie wolno opowiedzieć zdarzenie dziwne, które popchnęło mnie tym razem do lekarza. Zaznaczę przytem skrupulatnie przebieg objawów i wrażeń, gdyż same przez się są już zajmujące i stanowią, jak się wyraża mój lekarz: „ciekawe studium psycho-fizjologiczne”.

W pokoju moim znajduje się stare, w srebro oprawne zwierciadło. Otrzymałem je w podarunku od przyjaciela, zamiłowanego w starożytnościach, on zaś o ile wiem, nabył je na licytacji. Jest to zwierciadło dość duże, mierzy bowiem trzy stopy długości, a dwie szerokości, wisi zaś nad stolikiem, opartym o ścianę, na lewo ode mnie, gdy to piszę. Płaska rama jego, licząca trzy cale szerokości, musi być również bardzo stara, nie posiada bowiem znaków probierczych, któreby pozwoliły wiek jej określić. Szkło zwierciadła, rżnięte, wystaje nieco krawędziami poza ramę i odznacza się mocą osobliwą odbijania przedmiotów, mocą, zdaniem moim, posiadaną tylko przez zwierciadła bardzo stare. Spoglądając w nie, ma się wrażenie perspektywy, jakiego żadne zwierciadło nowoczesne nie jest dać w stanie.

Zwierciadło znajduje się w takim położeniu, że siedząc przy stole widzę w niem tylko odbicie firanek czerwonych, wiszących przy oknie. Dziwna jednak rzecz zdarzyła się nocy ubiegłej.

Pracowałem już od paru godzin z wielkim wysiłkiem, skutkiem dziwnego otumanienia wzroku, o którym wspominałem powyżej. To też od cza-

su do czasu musiałem przerywać pracę i przecierać oczy.

Podczas jednej z przerw takich rzuciłem przypadkowo okiem na zwierciadło. Wyglądało dziwnie. Firanki czerwone, które powinny były w niem się odbijać, znikły zupełnie. Natomiast szkło zdawało się zaćmione i jakby okryte parą, nie z wierzchu, powierzchnia bowiem zwierciadła połyskiwała, jak stal, lecz od środka. Gdym wpatrywał się w tuman ten uporczywie, zdawało mi się, że kręci się to w tę, to w ową stronę, aż w końcu utworzył gęsty obłok biały, ciężkimi kłębkami. Obłok ten przybrał kształty tak plastyczne, ja zaś byłem

tak przytomny, że—pamiętam—odwróciłem się, aby spojrzeć czy nie palą się firanki. Lecz nie. W pokoju panowała cisza grobowa, przerywana jedynie cykaniem zegara i nie mącił jej ruch żaden, oprócz wolnego wiru dziwnego obłoku, jakby z waty, w głębi starego zwierciadła.

W miarę, jakem wpatrywał się we mgłę, dym, obłok—nie wiem doprawdy, jak to nazwać—zdawało mi się, że skupia się i umacnia w dwóch punktach, położonych tuż obok siebie i nagle spostrzegłem, wzdrzygnąwszy się bardziej ze zdziwienia, niż ze strachu, że była to para oczu, spoglądających na pokój. Poza niemi widniał też mglisty zarys głowy, głowy kobiecej, o ile wnioskować mogłem z włosów, ale bardzo niewyraźny. Tylko oczy zarysowywały się całkiem dobitnie. Oczy ciemne, połyskujące, pełne wyrazu wzruszenia namiętnego: gniewu czy też prerażenia—nie wiem dokładnie. Nigdy jeszcze nie widziałem oczu, tak pełnych życia intensywnego, mocnego. Po chwili wszelako, gdym wyprostował się na krześle, przeciągnąłem ręką po czole i z wielkim wysiłkiem zapanowałem nad sobą—niewyraźny zarys głowy rozproszył się w tumanie, zwierciadło oczyściło się powoli i znów ujrzałem w niem tylko firanki czerwone.

Dnia 11 stycznia. Wszystko w porządku. Rozwijam zwój po zwoju siatkę, okalającą ciężki tułów oszusta. Ale kto wie, czy nie on zwycięży, jeżeli nerwy odmówią mi w końcu posłuszeństwa. Stare zwierciadło stanowi obecnie dla mnie barometr, wykazujący ciśnienie mózgu. Co noc widzę, jak zaśmiewa się pod koniec pracy mojej.

Opowiadanie moje tak zaciekało d-ra Sindaira, że przybył do mnie wieczora dzisiejszego, aby przyjrzeć się zwierciadłu. Zauważyłem przy tej sposobności kilka głosek pisma dawniej używanego, wyrytych na stronie odwrotnej metalu oprawy zwierciadła. Lekarz zbadał głoski te przy pomocy lupy, ale nie mógł z nich nie wnioskować. „Sanc. X. Pal.”—oto wszystko, co zdołaliśmy odczytać. Wreszcie dr. Sindair poradził mi, abym przeniósł zwierciadło do innego pokoju. Cóż z tego, skoro widziały są tylko objawem zdenerwowania mego. W przyczynach zdenerwowania leży niebezpieczeństwo. Należałoby zatem właściwie usunąć nie zwierciadło, lecz ówych dwadzieścia

tomów ksiąg buchalteryjnych, a tego uczynić nie mogę. Jestem już przy ósmym, praca więc posuwa się naprzód.

Dnia 13 stycznia. A jednak uczyniłbym może lepiej, gdybym był usunął zwierciadło z pokoju. Nocy ubiegłej miałem z nim zdarzenie nadzwyczajne.

Była, jak przypuszczam, godzina pierwsza po północy, gdy, zamykając księgi, aby powlec się do łóżka, ujrzałem znów postać niewieścią w zwierciadle. Stan zamglenia szkła musiał przejść niepostrzeżenie, bo oto widniała przede mną w całej swej piękności, cierpieniu i niedoli, tak wyraźnie zarysowana, jakgdybym mógł dotknąć jej palcami. Postać nie wielka, ale tak dobitna, że najmniejszy rys, najdrobniejszy szczegół ubrania wyrył się w pamięci mojej. Znajduje się ona u samego krańca lewej strony zwierciadła. U nóg jej czołga się niewyraźnie postać jakaś—o ile mogę rozróżnić w mrokę, jest to postać mężczyzny—za niemi zaś rozpościera się chmura w której majaczą jeszcze inne postacie i to postacie ruchome. Nie patrzę więc na zwykły obraz, lecz na jakieś zająście życiowe, na zdarzenie rzeczywiste. Ona kurczy się i wzdyga. Mężczyzna, stojący obok niej, pochyla się ku dołowi. Inne, niewyraźne postacie ruszają się i gestykują gwałtownie. Cały mój strach zamienił się w ciekawość. Do rozpaczki poprostu doprowadza mnie to, że widzę tyle, a nie mogę widzieć więcej.

Mogę zato opisać postać niewieściami w szczególności najdrobniejszym. Jest bardzo piękna i zupełnie młoda, o ile bowiem sędzę, nie liczy więcej, jak dwudziesty piąty rok życia. Włosy posiada brunatne z odcieniem kasztanowatym, przechodzącym niemal w złoty u końców. Mała kapotka z koronek, zakończonych rzędem pereł, wysuwa się klinem płaskim na czoło wysokie, a nawet może zbyt wysokie dla piękności doskonałej, nie chciałoby się jednak, aby posiadała inne, nadaje bowiem piętno siły i mocy twarzy, która przy czole niskim posiadałaby wyraz tylko miękki, kobiecy. Brwi jej zakreślają łuk nadzwyczaj delikatny nad powiekami ciężkimi, z pod nich zaś wycierają oczy cudowne: wielkie, ciemne, pełne przemagającego wszystko wzruszenia, gniewu i strachu. Policzki jej zbiegły, a wargi pobladły z cierpienia. Broda i szyja zaokrąglone są prześlizgnięte. Postać ta wychyla się naprzód, naprężona i sztywna, jak w stanie kateleptycznym pod wpływem przerażenia. Czarna suknia aksamitna okrywa jej kibić, kamień drogocenny jarzy się płomieniem na piersi, a z pośrodku fałd sukni migoce krucyfik złoty.

Lecz oto szczegół jeszcze jeden. U dołu, po lewej stronie sukni widnieje na czarnem tle coś, co w pierwszej chwili wziąłem za bezkształtny kłęb kiałej wstążki. Czy to jednak skutkiem uporczywego wpatrywania się w ten przedmiot, czy też dla tego, że uwydatnił się wyraźniej, zmiarkowałem w końcu, czem jest w istocie.

(DN)



Poprostu ręką ludzką ściśniętą i skręconą z bólu, trzymającą się konwulsyjnie fałd sukni.

NADZWYCZAJNE PREMIUM

Tygodnika Ilustrowanego

Dla uprzyświecenia najszerzym warstwom nabycia szeregu dzieł wartościowych, pióra pierwszorzędných pisarzy polskich i obcych, postanowiliśmy zniżyć cenę

12 tomów cennych i zajmujących

powieści, nowel, poezji i dramatów tak, aby nabycie ich było możliwe dla wszystkich.

Jakoż oznaczamy cenę tę na RUBLI 2, czyli za ledwie **po złotówce za duży tom**, zawierający od 200—400 str. ścisłego druku.

Na premium nadzwyczajne przeznaczylimy książki następujące:

- K. Laskowski:** „Melodye“, poezye.
- T. Jaroszyński:** „Miasto“, powieść współczesna.
- J. Słowacki:** „Zawisza Czarny“, dramat.
- A. Gruszecki:** „Zwycięzcy“, powieść współczesna.
- A. Krechowiecki:** „Mrok“, powieść historyczna.
- M. Gorkij:** „Dzieci słońca“, dramat
- T. J. Choński:** „Różycy“, powieść z dziejów poznańskiego.
- K. Gliński:** „Boruta“, powieść historyczna.
- F. Brodowski:** „Chwile“, opowiadania, nastrój, nowele.
- Konar:** „Panny“, powieść współczesna.
- Z. Sarnecki:** „Szkłana góra“, baśń sceniczna.
- F. Morzycka:** „Powrotne fale“, nowele.

Nazwiska wymienione mówią same za siebie, reklamować ich nie trzeba; jest to naprawdę jedyna sposobność wzbogacenia biblioteki domowej za bajecznie niską cenę. (Przesyłka 12 tomów rub. 1).

Uzyskaliśmy też dla prenumeratorów *Tygodnika* znaczne zniżenie ceny wspaniałego, piśmnikowego wydawnictwa:

MALARSTWO POLSKIE W REPRODUKCYCH BARWNYCH S. KULIKOWSKIEGO,

a mianowicie: **zamiast 9 rubli za 6 zeszytów, prenumeratorzy nasi płacić będą TYLKO RUBLI 6, z przesyłką rubli 7 kop. 50.**

Wydawnictwo to powinno się znaleźć w każdym domu polskim.

FORTEPIANY
PIANINA, PIANOŁE
ORGANY,
MELODYKONY



GEBETHNER i WOLFF

Warszawa, Krak.-Przed. 17

Jedyny polski ilustrowany tygodnik

SCENA i SZTUKA

poświęcony teatrowi, muzyce i sztuce.

Warszawa, Trębacka 10
Telefon 144-40.
Cena rocz. rb. 6, na prowinc. rb. 7.40

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

„APOLLO“

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.

PASY SKÓRZANE
oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca

ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33, Senatorska.

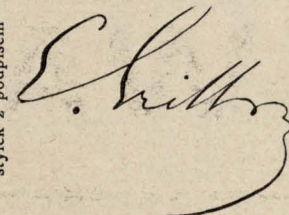
PASTILLES
DE

TAMAR INDIEN GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.


Owoc przeczyszczający
PRZECIW
OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

JÓZEF FRAGET



FABRYKA
WYROBÓW PLATEROWANYCH I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.



— O! Kazik! A ty skąd się wziąłeś, nie widziałem cię już dawno, gdzież to bywałeś?
— Siedziałem cały rok w areście za politykę.
— Cożeś zrobił.
— Ściągnąłem trochę bielizny ze strychu i złapali mnie!

Rys. Fr. Kostrzewski.

ŻEBRAK-MODERNISTA.
— Łaskawco! Daj jałmużnę kalece, co stracił obie nogi, spadłszy z aeroplanu.

WYDAŁO SIĘ.
Przechodzeń. Więc po całych dniach prowadzacie waszego chorego męża po ulicy.
Zebraćka. Nie, bo robimy to po kolei.
Meggendorfer Blätter.

CONSUETUDO ALTERA NATURE.

Do pani domu, która trzeci raz z rzędu owdowiała, wchodzi lokaj i pyta:
— Gdzie ustawić katafalk?
Pani domu (po krótkim namyśle):
— Jak zwykle, w ciemnej sali.
Jugend.

księgarnia FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36, przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

WIELKA MISYA.
— Cóż to, twarz ci spuchła i oko posiniało?
— Pełniłem wielką historyczną misję: Słowianin z Niemcem się pobił, a ja się ująłem.

MIŁUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaże elektryczne** usuwają rapturę, nie kępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów **w dobrym gatunku**. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik**, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

W MŁODEJ TURCYI.
— Zamiast za miesiąc, wypłacacie pensję tylko za pół miesiąca?
— A czyż Turcyja nie jest krajem półmiesiąca?



Żądać wszędzie z antiofem.

STRACH PRZED DYPLOMACYĄ.
Adwokat. Widzi pan... sprawa bardzo trudna, trzeba postępować niezmiernie dyplomatycznie.
Klijent. O la Boga. Tylko nie dyplomatycznie. Ja wcale nie mam zamiaru jej przegrać!

JULIUSZ SŁOWACKI PISMA

wydane za życia i po śmierci autora,
w układzie D-ra Artura Górskiego

6 tomów (przeszło 3,500 stron druku) rub. 6, w opr. rub. 8.

Ukażą się w początku Grudnia r. b.
Nakład G. GEBETHNERA i S-ki w Krakowie.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą
w prenumeracie pism
krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze. Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Bracia Osinscy

Warszawa, Niecała Nr 2 (róg wierzbowej)

Główny skład Kryształów czeskich fabryki Hr. Harracha „Nowy-Svet” (Czechy)

z kryształów, porcelany, terrakoty i majoliki, niebawmy wybór serwisów stołowych, porcelanowych, krajow., czeskich i francuskich „Limoges”.

Ceny fabryczne.
polecają wielki wybór
OSTATNICH NOWOŚCI

VENUS

puder uznany na wystawach higienicznych za najlepszy i nieszkodliwy.

KONSERWATOR wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop.

AGATOL proszek i eliksir do ZĘBÓW z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMEŁKI

LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Najlepsza Pasta do Obuwia
H. Trembińskiego

„INTRYGANT”

żądać
wszędzie

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

Ch. GEBER w Grochowie

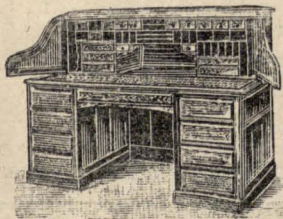
Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2a, Leszno Nr 4
Długa Nr 19, Chłodna Nr 18, Dzika Nr 7, Praga Brukowa Nr 32.

Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 31.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.



KOMPLETNE

Urządzenia biurowe
KAROL F. FIŠER

Warszawa, Mazowiecka 10.



Lekarz
dentysta

STEFAN ŻYCZKOWSKI

NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671



NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE
WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47

Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem

J. MIECZKOWSKI, Fotografia

Marszałkowska III. Telefon 16.81



ODPOWIEDZI.

P...ek. Miałem — dostałem, marzenia — westchnienia — ziszczenia, to rymy gramatyczne, w nowoczesnej poezji niedopuszczalne. Wogóle wiersze bardzo nieudolne.

P. Zofii Rot er. Wiersz Sz. P. skazony jest poważnymi usterkami stylistycznymi, a nawet gramatycznymi: np. nie mówi się: „namowę tą”, lecz „namowę tę”; co to znaczy: „podejrzeń spleciony wian”? „dążycie — tracicie” to rymy gramatyczne, nazbyt łatwe i t. d.

Panu J. Szymczykowski. Możemy polecić „Przewodnik dla maszynistów” E. F. Scholla i „Elektromotory o prądzie stałym” G. Roesslera — skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Panu F. Wiśniowieckiemu. Polecamy dwie książki: „Wina i miody z owoców” Jana Biegańskiego i „Miodosyt-nictwo” d-ra T. Ciesielskiego.

P. Eliaszowi Neuteichowi. Pańskie-go wiersza „Noc!” nie wydrukujemy; w Pańskim wieku raczej uczyć się trzeba, a nie marzyć o drukowaniu wierszy.

Mimozie. Prosi Sz. Pan o ocenę. Niestety! wypadnie bardzo niepoehlebnie. Przedewszystkiem błędy ortograficzne („żucało”) i gramatyczne („któren”), a potem takie niezręczności stylistyczne, jak np. „srebrny księżyc na nowiu” (chyba w pełni!), lub „zuchwale (!) ścię-lące się pod nogi białe płatki śniegu” i t. p. Gruntu brak!

Kujawiance. 1) Nie jesteśmy upo-ważnieni do zdradzania pseudonimów autorów, jeżeli pisarz ukrył swe nazwisko, musiał mieć jakiś powód ku temu — i winniśmy go uszanować; 2) podobno przepis taki istnieje, najlepiej udać się z reklamacją do Zarządu; 3) jesteśmy *chevalersque* — i o lata ko-biece nigdy się nie dopytujemy.

P. Edwardowi Obecemu w Brook-lynie. Chopin, według urzędowej me-tryki chrztu, urodził się w Żelazowej Woli d. 22 lutego 1810 r. Wszelkie inne daty są błędne i żadnego sporu tu być nie może. Jest kilka monografii polskich o Chopinie. Dawniejsze: Maur. Karasowskiego (2 tomy) z 1882 r. u Ge-bethnera. Wcześniejsze: M. A. Szulca (Poznań 1873) i z tegoż roku F. Lisz-ta w przekładzie Fel. Faleńskiego. Wca-ce dobrem streszczeniem życiorysu jest książka F. Höesicka (Petersburg u Gren-dyszyńskiego, 1899 r., kop. 30) i książ-żeczka, wydana u Arcta przez K. K. (Książki dla wszystkich). Z talentem napisany jest „Szkic z profilu z życia Chopina” przez Adolfa Strzeleckiego (1903 r.).

Stańczykowi. Nadesłany przez Sz. P. urywek jest parafrazą cudzych mo-tywów („Kordyan”, „Dziady”, „Konrad Wallenrod”), niepodobna więc orzec na jego podstawie, czy przed autorem otwarta droga poetycka. Trzeba wpi-er zdobyć się na własne pomysły.

Amfionowi z nad Mlecznej. Nie ro-zumiemy zgoła, na jakiej podstawie Sz. P. sądzi, iż „protekcyj” lub brak jej może w jakiej kolwiek mierze wpły-nąć na umieszczenie czyjś wiersza w *Tygodniku Ilustrowanym*. Wogó-le ton listu Pańskiego dziwi nas bardzo. Co do wierszy, są one miej-scami gładkie i posiadają pewną siłę ekspresji (np. „Astry”), ale cza-sem też grzeszą brakiem nastroju i obra-zów poetyckich, nie mówiąc już o pew-nych usterkach w budowie wiersza. Nie umieścimy. Nic nie pomoże Pań-skie zrzeczenie się *a priori* honora-ryum... sprzedaje Pan skórę na nie-dźwiedziu, a niedźwiedź w lesie, Sza-nowny Panie.

P. Józefowi Majewskiemu w Ekate-rynburgu. Za wiadomość dziękujemy. Skorzystamy przy sposobności.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.